ORCZNIK XI. Czerwiec 1907. Nr. 6.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

* Turyn - Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ:

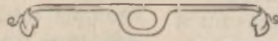
Do Najsłodszego Serca Jezusowego.

Nienawiść społeczna nas niszczy. Wsiąka w naród, serca od Boga odwraca, niezgody sieje, siły nasze szarpie. Jako warunek życia partji przewrotnych, jako ostateczny powód do każdego ruchu wrogiego Kościołowi i społeczeństwu, jako najsilniejsza broń w walce z wiarą i spokojem, jako towar krzykliwie reklamowany a łatwy do zbycia i nabycia, wciska się wszędzie, choćby przemocą i podstępem, zwykle pod płaszczykiem uświadomienia i wolności.

Lekarstwem na tę ranę społeczną jest miłość chrześcijańska; źródłem zaś i ogniskiem tej miłości Najświętsze Serce P. Jezusa. W niem znajdą ratunek gnębione narody, społeczeństwa chore i każda dusza skrzywdzona, potrzebująca pociechy. Nie gdzieś na gruzach wiary, ale w jej najżywotniejszej części, w samem Sercu jej Założyciela i Głowy funduje się nadzieja nasza i przyszłych pokoleń.

Do Serca Jezusowego niech wszyscy w czerwcu spieszą z prośbą o pomyślność dla Kościoła i narodu, o uleczenie społeczeństwa z nienawiści, o pogodzenie zwaśnionych braci, o lepsze czasy, oparte na miłości chrześcijańskiej.

SYNOWIE MARJI.



Żarliwości księdza Bosko nie uchodziło nic, co w jakimś związku stało z pomnażaniem chwały Bożej i zbawieniem dusz. Odkąd sam został kapłanem, starał się naprowadzić na drogę wiodącą do ołtarza jak największe zastępy młodzieży a w późniejszych latach powziął myśl, która, jak się wyrażał ks. kardynał Alimonda, *mogła wyjść tylko od niego.* Znalazł bowiem sposób, by ułatwić wstąpienie do stanu duchownego takim młodzieńcom, którzy w młodszym wieku dla jakichkolwiek powodów nie mogli pójść za głosem Bożym i jeszcze w dojrzalszym wieku zachowują w sercu nasienie powołania.

Myśl taka opierała się na przykładach świętych, z pomiędzy których taki św. Ignacy Lojola, św. Kamil de Lellis i wielu innych *późno rozpoczęli nauki*, lecz za to *tem wcześniej zaczęli działać.*

Tak powstały salezjańskie zakłady dla t. zw. *synów Marji.* Ks. Bosko pokładał w nich wielkie nadzieje i nie zawiódł się, bo jeszcze przed śmiercią oglądał ich wielkie rezultaty. Doszedł więc do przekonania, że jeśli podobne zakłady ujęte będą w należytą formę i pod roztropnem kierownictwem nie sprzeniewierzą się swemu zadaniu, to dzięki swej organizacji dostarczyć mogą Kościołowi znacznej liczby gorliwych kapłanów. Spełniły się też przewidzenia i nadzieje czcigodnego Fundatora. Ze szeregów *synów Marji* wyszło przeszło 800 wzorowych kapłanów i niezmordowanych misjonarzy, z pomiędzy których są chlubą naszego Zgromadzenia taki *ś. p. ks. August Czartoryski i ś. p. ks. Michał Unia*, apostoł trędowatych w Kolumbji, taki *ks. Jan Balzola*, apostoł Indjan Bororów i wielu innych. Pierwsi Polacy wstępowali do Zgromadzenia Salezjańskiego jako *synowie Marji;* Valsalice, Lombriasco, Ivrea były kolebkami, w których się wychowały pod tą nazwą pokolenia, które dziś w kraju i na obczyźnie dla chwały Bożej pracują.

***

Prowadzenie zakładów dla *synów Marji* wymaga ludzi i środków.

Ludzi dostarcza Zgromadzenie, nie cofając się przed wielkiemi ofiarami, jakie z tego powodu musi ponosić. Ile poświęcenia i zdrowia kosztuje młodych zakonników formacja takiego kapłana, to pojąć może tylko ten, kto zna serce ludzkie, tajemnice zawodu nauczycielskiego i trudność stanu duchownego. Atoli dla ideału, dla społeczeństwa i Boga oddają świętej sprawie wszystkie swoje zdolności, swoje siły i życie, nie szczędząc ni czasu ni trudu. Tak ich nauczył ks. Bosko.

Srodków dostarczają Pomocnicy Salezjańscy a w szczególności członkowie *Związku Najśw. Marji Panny, Wspomożenia Wiernych*, założonego przez ks. Bosko po roku 1870 a zatwierdzonego przez Piusa IX brewem z dnia 9. maja 1876 r.

Sprawę tę przypominamy naszym

Czytelnikom dlatego, że, jak nam donoszą, niebawem ma powstać w Polsce pierwszy zakład dla *synów Marji*. Należy sobie życzyć, aby na naszym gruncie ojczystym instytucja ta była równie żywotna, owszem żywotniejsza nawet, niż dotąd. Niemało ona już zdziałała dla naszego kraju, choć na obcej

MEKSYK. Ukoronowanie figury Wspomożycielki Wiernych. *(Zob. str. 160).*

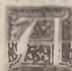
rozwijała się ziemi. Obecnie, gdy radośnie przez wszystkich witana przenosi się w nasze strony, stwórzmy wokoło niej warunki takie, iżby w zupełności odpowiadała swemu celowi. Nasza prowincja zakonna nie poskąpi sił pedagogicznych; Czytelnicy zatem niech ją wesprzą swą ofiarą, a wtedy powstanie u nas jeden z najlepszych w Zgromadzeniu zakładów dla *synów Marji*. Idea ks. Bosko w ten sposób zwycięży, wokoło rozsadnika kapłanów i zakonników zespolą się zbożne usiłowania Zgromadzenia i Pomocników, i tą wspólną pracą można będzie stworzyć zakład dorównywujący oświęcimskiemu nie rozmiarami i rozgłosem, ale wielkością swego przeznaczenia, oraz doniosłością swego zadania społecznego, narodowego i religijnego.

W mocy Boga są czasy i chwile: kto je wyprzedza, grzeszy zuchwałością; gnuśny je pomija, a tylko gorliwy je spostrzega i z nich korzysta.

Krytyczna chwila.

Do Rodziców.

(Dokończenie).

 ci, którzy zakosztowali już życia studenckiego? — O jakże różni wracają do domu i jakże różne wywierają na rodzicach i opiekunach wrażenia!

U jednych radość i szczęście, bo syn powrócił dobry, zdrowy i celujący; u innych natomiast smutek i rozczarowanie, gdyż chłopiec

otrzymał naganę w naukach i obyczajach. Gorzki to zawód, bolesna, ale zasłużona kara za miękkość i pobłażliwość rodzicielską. Jakżeby to dobrze było, gdyby osoby interesowane, nie żałując grosza, odwiedzały częściej i niespodzianie swych protegowanych, mieszkających w mieście na stancji. Ubyłoby wydatków, oszczędzonoby sobie zawodów, strapień a niekiedy i hańby.

Ponieważ już mówię o dozorowaniu młodzieży, muszę wspomnieć o niebezpieczeństwie, którego rodzice często widzieć nie chcą, a w którem nierzadko ginie moralność dzieci. Mówią niejedni rodzice: „Jesteśmy spokojni o swoje dziecko. Mieszkamy na wsi, syna na stancji nie utrzymujemy, wysyłamy go rannym pociągiem a pierwszym popołudniowym musi wracać. Nieraz nawet na dworzec jedziemy po niego. On się nie ma czasu zepsuć i pod tym względem jesteśmy zupełnie spokojni."

Czy tak? Wsiądźmy do pociągu na jednej z ostatnich stacji przed większem miastem, posiadającem szkoły średnie. Razem z nami wsiada młodzież szkolna, męska i żeńska. Konduktor nie gatunkuje (boby mu to nawet łatwo nie przyszło), lecz zapędza do jednego przedziału, ilu się zmieści. Pociąg rusza a młodzież zabiera się do rozmów i żartów. O wzmagającej się wesołości świadczą sypiące się zewsząd koncepty, najświeższe wiadomości wymieniane bezustannie, wykrzyki i śmiechy tak głośne, że wobec nich głuchnie świst lokomotywy i nawoływanie konduktorów.

Nie mam nic przeciw wesołości i humorowi, broń Boże! Ale jak nie napiętnować nizkiego, trywialnego tonu rozmów, ich dwuznaczności, ich śliskiej, gorszącej treści? Jak nie ubolewać nad rażącem wyzuciem z wszelkich uczuć delikatnych, ze wstydu, z honoru i moralności, skoro ta młodzież na takie głośne rozmowy, na gorsze nawet rzeczy zdobywa się wobec licznych pasażerów?

Gorzej jeszcze dzieje się z powrotem, kiedy to młodzież dzieli się uzbieranemi nowinami brukowemi, a upojona swawolą miejską nie krępuje się niczem ani w słowach, ani w zachowaniu się. Z rumieńcem na twarzy, ze zdumieniem i trwogą w sercu patrzą na to starsi ludzie — a rodzice siedzą w domu spokojni, przekonani święcie, że dzieci zepsuć się nie mogą, bo nie mieszkają w mieście, ale *tylko dojeżdżają*.....

Z wielu względów naprawdę krytyczny jest dla dobrych rodziców i opiekunów czas wakacyjny. Słusznie drżą o przyszłość swego dziecka, pomni na słowa Pisma św.: *Młodzieniec wedle drogi swej choćby się zestarzał, nie odstąpi od niej.* Jakim się ukształtuje i wychowa za młodu, takim zostanie na starość, jak pięknie pisze poeta:

Młodość jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały;
Choć przemija sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznie trwały.

W tej ciężkiej chwili przychodzą rodzicom i opiekunom z pomocą katolickie zakłady wychowawcze. One dają pewną rękojmię, że uchronią młodzieńca od największych niebezpieczeństw i wyprowadzą wychowanków na uczciwych ludzi. Prawda, że czasem i z najlepszego zakładu wychodzi nienajlepszy młodzieniec, bo nieraz nauki padają na grunt, który przypomina ów wierszyk:

Ludzkie charaktery
Istne to chimery;

ale są to raczej wyjątki.

Niestety w kraju naszym bardzo mało takich zakładów a potrzeby wielkie i naglące. Ileżto młodzieży opuszczonej, bez dachu i chleba, a niema, ktoby ją przytulił i wychował. W licznych rodzinach ile takich dzieci, że tylko kilkuletni pobyt w dobrym internacie może je uratować od zmarnienia, hańby, obłędu. Zewsząd się woła: „*Ratujmy młodzież,*" a mało gdzie widać pracę w tym kierunku.

W chwili, kiedy w społeczeństwie budzi się świadomość, że nam dobrych zakładów wychowawczych potrzeba, ośmielamy się Czytelnikom zalecić w szczególniejszy sposób **Zakład ks. Bosko w Oświęcimiu**. Nie chodzi tu o reklamę, gdyż z powodu przepełnienia co rok większej części petentów Dyrekcja musi odmówić przyjęcia. Chodzi nam jedynie o uzyskanie, zwłaszcza od osób zamożniejszych a dobrych, silnego poparcia celem powiększenia gmachu. Dla ilu rodzin czas wakacyjny nie byłby ani krytyczny ani przygnębiający, gdyby zakład oświęcimski przynajmniej o 100 miejsc powiększono!

Z NASZEGO WYCHODZTWA.

Londyn, 25. kwietnia 1907.

Położenie Polaków. Polski kościół. Nasi kapłani. Polska fabryka.

Życie Polaków na wychodztwie skupia się zwykle koło kościoła i księdza polskiego, to też gdzie tylko jest jakieś większe środowisko wychodźcze, to Polacy nasi starają się przedewszystkiem, aby mieć swój dom modlitwy, swój kościół i swego księdza. Ze wszystkich środowisk wychodztwa naszego Londyn jest najnieodpowiedniejszym i najnędzniejszym przytułkiem dla wychodźców naszych, to też bardzo wielu cierpi tu straszną biedę, bo brak pracy fachowej i najemnej trwa tu już od lat kilkunastu. Jeżeli Londyńczycy, rodowici Brytańczycy, są tu po 6—8 miesięcy bez pracy, to cóż tu dopiero mówić o biednym naszym wyrobniku czy rolniku, nie znającym języka ani stosunków. Dopóki nie przeje paru groszy, jeśli jakie przywiózł, wałęsa się od fabryki do fabryki, popychany, obijany przez tłum i zgłodniałych synów Albionu, przebiegłych Szkotów i niewybrednych w robocie potomków Irlandczyków. Lecz w wielkiem mieście pieniądz się topi a zwłaszcza tak drogi jak w Anglii, o ile zdobywa się z trudnością, o tyle zbywa się szybko i łatwo i oto niebawem rodak nasz znajduje się na bruku jak nędzarz, obdarty, głodny! Szuka wtedy pomocy zamożniejszych rodaków i jest im ciężarem, darmozjadem, przed którym drzwi zamykają, bo i im przykrzy się ciągłe wspieranie, bo i im grosz sam nie rodzi się i ciężko pracować trzeba na jakie takie wyżywienie siebie i własnej rodziny. Szczęśliwy jest ten, który po kilku miesiącach poszukiwania dostanie jakiś nędzny zarobek; ale jeśli go nie znajdzie i nie ma za co ani nikogo w ojczyźnie, ktoby dopomógł mu do powrotu do kraju, to ginie marnie, nocując po domach zarobkowych „workhuzach" jako więzień policyjny, rozbijając pod strażą kamienie, rąbiąc drwa i t. d. Wszędzie i każda praca jest tu płatną bardzo nisko wskutek nadmiaru rąk roboczych, wskutek przeludnienia tego wielkiego miasta, liczącego dziś razem z przedmieściami do 10 ½ miliona mieszkańców.

A więc „robiący życie" Polacy, rozrzuceni po wszystkich biedniejszych dzielnicach mają swój punkt zborny, którym jest kościół p. w. św. Kazimierza przy ulicy Mercer w dzielnicy Shadwell w północnej stronie miasta. Własnej świątyni Polacy nie mają, wynajmują gmach po „Marine Institute," przerobiony na kościół i mieszkanie dla księży, chociaż już raz pono przed kilkunastu laty mieli swój własny budynek, lecz niestety ksiądz sprzedał go innonarodowcom, zabierając sumę ze sprzedaży otrzymaną i Polacy nasi pozostali bez kościoła i księdza. Rozgoryczeni, opuszczeni i zawiedzeni na zaufaniu do



Wnętrze kościoła polskiego w Londynie.

księdza, długi czas potem obywali się bez pociechy religijnej, tułając się po obcych kościołach, aż nareszcie zaopiekowali się nimi *OO. Salezjanie* i z początku w małej kapliczce, dziś w dzierżawnym kościele pełnią swą misję ku chwale Boga i pociesze ludu polskiego, zamieszkującego Londyn. Wybitniejsi Polacy udziału w życiu Polonii nie biorą. Z małym wyjątkiem pozapominali o ziemi, co ich zrodziła i jeżeli modlą się, to po obcych kościołach, odosobnieni, zangliczeni i wynarodawiający się. Lud jeden, ten biedny, kochany nasz lud polski, trzyma się kościółka polskiego, zachowuje polskie zwyczaje i świeci w sercach miłością ku ojczyznie i jej ideałom.

Proboszczem przy polskim kościele jest wykształcony ksiądz ze Śląska *Wiel. O. P. Bujara* z asystentem *ks. Juliuszem Solarzem*. Ciężką rolę do uprawy słowa Bożego znalazł tu ks. Bujara. Ludzie rozgoryczeni przejściami z pozostawiającemi dużo do życzenia tegoż poprzednikami, niedowierzająco patrzyli na nowego kapłana, który pośród takich przykrych warunków rozpoczął tu swą siejbę Bożą i pracę przywrócenia parafii do porządku. Ludzie uczęszczający do kościoła w liczbie kilkunastu, dziś napełniają nawy tegoż po brzegi, cieszą się i błogosławią swego Wielebnego Ojca, który swym taktem, przykładem i pracą przyprowadza parafię do stanu kwitnącego. A praca księdza nie jest tu bardzo wdzięczną ani donośną. Myta tu ksiądz nie otrzymuje; żyje tylko z dobrowolnych ofiar, a że parafianie biedni, więc i dochód księdza ledwie wystarcza na więcej niż skromne utrzymanie. Być proboszczem polskiej miejscowej parafii, jest to prawdziwem poświęceniem powołania kapłańskiego. Ksiądz Bujara zaś oprócz tego, że odmawia sobie najpotrzebniejszych rzeczy, wspomaga jeszcze tych, którzy widzi, że ratunku i pomocy potrzebują, dzieląc się ostatkami. Taki kapłan na wychodztwie, to wielkie błogosławieństwo Boże.

Zdawałoby się, że pośród wychodztwa liczącego parę tysięcy, powinno się znaleźć choć kilku przemysłowców, interesów polskich. Gdzietam, na cały Londyn jest tu jeden polski interes, hurtowny skład i fabryka bambusowych mebli niejakiego p. Brauna przy ulicy Tabernacle. P. Braun jest jednym z tych nielicznych synów fortuny, który przybywszy tu przed 15 laty z Królestwa, pracą i wytrwałością pod szczęśliwą gwiazdą doszedł dziś do pięknego interesu z obrotem rocznym mniejwięcej około 200 tysięcy marek, a co mu się chwali, że zatrudnia w zakładach swych przeważnie Polaków i Litwinów, których humorystycznie nazywa „bambusiarzami" nie znającymi nawet pomiaru calówki i przy kijku stosownej miary dopasowujących pręty bambusowe.

Dziennik Śląski, 3. maja 1907.

Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu lipcu.

Pomocnicy Salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję [illegible] św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu lipcu następujące odpusty:

A. — *Zupełne:*

a) W dzień Nawiedzenia P. Marji (2 lipca).

b) Przenajdroższej Krwi Pana Jezusa (7 lipca).

c) W dniu, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

d) Raz w miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

e) Raz w miesiąc w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. zw. dobrej śmierci.

f) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu P. Jezusa.

g) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekollekcje.

h) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Odpusty Cząstkowe:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyścu cierpiące.

C. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

D. — *Indulty.*

a) Pomocnicy chorzy lub rekonwalescenci, którzy nie mogą wygodnie wychodzić z domu, dostępują wyżej podanych odpustów, jeżeli zamiast zwiedzenia kościoła zmówią pięć Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu.

b) Pomocnicy żyjący w seminarjach, kolegjach i innych Zgromadzeniach, mogą dostąpić wszystkich odpustów nadanych Związkowi Pomocników i odpustów udzielonych kościołom Zgromadzenia Salezjańskiego, jeżeli wypełnią inne warunki i zwiedzą swój kościół, lub w braku tegoż, prywatną kaplicę swego domu.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów*, trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz, Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).

MISJE SALEZJAŃSKIE

AMERYKA.

Z MISJI NASZEGO RODAKA
w Patagońskich Pampasach.

(Sprawozdanie Ks. Stanisława Cynalewskiego).
*(Ciąg dalszy *).*

Opatrzność Boska. — Przygody podczas Mszy św. — Oaza wśród skał.

Na posłaniu z kilku skór, okryci takąż samą pościelą, z wyrosłą kępą trawy pod głową, — usnęliśmy tak smacznie, jak chyba nie śpi żaden rozkoszniś tonący w miękkich puchach swego łoża. O jak szczodrą jest Opatrzność pod każdym względem z tymi, co zdają się na Jej świętą łaskę! Miłym snem krzepi znużone członki, nocnym wypoczynkiem wzmacnia nadwerężone siły; środkami, jakie ze zwykłymi objawami w przyrodzie pogodzić trudno, zapobiega nieszczęściu; zaopatruje potrzeby życia w sposób nadzwyczajny.

Krople rosy wśród stepu, dostarczone ręką Opatrzności, lepiej gaszą pragnienie, aniżeli wykwintne napoje; skromne i na pozór licho się przedstawiające ziółka, chodowane ręką Opatrzności wśród rozległych puszczy, w pewnych wypadkach usuwają niedomagania prędzej i skuteczniej, niż podsuwane środki zarozumiałej wiedzy ludzkiej. Jednem słowem jeżeli gdziekolwiek, to właśnie wśród stepów i puszcz, gdzie brak wszystkiego — na polu misyjnem, w pogoni za duszami błądzącemi jeszcze na drodze ciemności i błędu, Opatrzność daje dowody Swej nieustannej Wszechmocności i opieki. Napróżno sili się szatan Jobowemi klęskami utrudniać pracę misyjną; napróżno zagłusza głos misjonarza pukającego do serc ofiarnych o pomoc i poparcie; napróżno wytwarza kamienną nieczułość w sercach tych, którzyby dzieło misji hojną mogli wspierać dłonią; napróżno w sercu i wyobraźni skąpca budzi pozory skłaniające go do zamknięcia dłoni dla ofiarności, do trzymania w ukryciu złota i srebra nagromadzonego może nie pracą uczciwą i przemyślną, ale wyzyskiem i naciskiem moralnej przemocy. Cały ten ogrom piekielnych zakusów niknie bez skutku, zagłębia się w bezdennych przepaściach wiecznego pobytu wroga rodu ludzkiego wobec siły, znaczenia i potęgi Opatrzności.

Sprawa Boża nie potrzebuje co prawda dla swych wzniosłych celów skarbów tego świata, żąda atoli od nas w odpowiedniej i jak najmniej niegodnej formie dowodów gorliwości o Swą świętą chwałę i zbawienie dusz. Stąd serce nasze wdzięcznością pałać powinno, jeżeli Najwyższy daje nam sposobność korzystania z dóbr tego świata ku zdobyciu sobie skarbów, jakich ani ogień nie spali, ani złodziej nie ukradnie. W istocie czyż nie lepiej być przedmiotem obietnicy « *Centuplum accipietis* », niźli ofiarą strasznego wyroku « *pecunia tua tecum sit in perditione?* »

Przypatrzmy się w jakiej mierze istoty mające li tylko słabe pojęcie o Bogu, starają się spieszyć z pomocą temu, kto im przynosi światło wiary św. I tak budującym jest często widok troskliwości, jaką nawet Indjanie otaczają misjonarza, nie szczędząc dla ułatwienia jego pracy rozlicznych trudów i poświęcenia. Wobec ich słabego pojęcia o rzeczach nadprzyrodzonych; wobec ich wrodzonej obojętności i pewnego nawet niedołęstwa; wobec ich nizkiego poziomu umysłowego i do najniższego stopnia ograniczonych potrzeb materjalnych, które nie pozwalają im wyrobić sobie choćby tylko skromnego zrozumienia potrzeb bliźniego, czyż nie prawda, iż najmniejsza usługa tych istot równa się zasługom człowieka dążącego drogą dobrych uczynków do doskonałości chrześcijańskiej?

Łagodna temperatura nocy lutowej (był to bowiem wówczas miesiąc luty, t. j. tyle, co u nas w Polsce sierpień), oraz grobowa cisza

---

(*) Zob. numer 4. str. 93 i nast.

dokoła, przerywana jedynie od czasu do czasu parskaniem koni spożywających suchą trawę stepową, pozwoliły nam wywczasować się należycie przez cały czas nocnego wypoczynku. Nie o świcie, który tutaj nie zaznacza się (jak u nas) swymi urokami, lecz o wschodzie słońca, które jakoby przebywając w zasadzce, wysuwa swą tarczę ognistą znienacka, zerwałem się z posłania i donośnem « *Benedicamus Domino* » zbudziłem mego towarzysza. Usłyszał mój głos, ale jak zwykle — tak i tą razą chciałem przewodnikowi oszczędzić drogi w celu stwierdzenia ilości naszych wierzchowców. Wziąłem się więc do lornetki, lecz z tym samym co dnia poprzedniego skutkiem: w mglistym przestworze, jaki dawała licha lornetka, mniej można było widzieć, aniżeli gołem okiem.

Wspólnie zmówiliśmy pacierz, poczem chłopak zarzuciwszy *boleadorę* (1) na ramię, poszedł w kierunku koni, które zresztą przyciśnięte pragnieniem, ku południowi same byłyby się



Z wycieczki misyjnej ks. St. Cynalewskiego *(On nas wyzwolił z mocy szatana).*

trudno mu było wyrwać się całkiem z błogich objęć Morfeusza. Wstał wreszcie, przetarł oczy i prawie instynktownie, jak to jest u *gauciów* i Indjan w zwyczaju, obejrzał się za końmi. Te znajdowały się od nas o jakie 5 do 6ciu kilometrów, atoli taka odległość nie stanowi na stepie przestrzeni.

Pierwszą czynnością nietylko takiego przewodnika, ale wogóle każdego podróżującego na stepie jest zapewnić się zaraz z rana, gdzie i czy wszystkie znajdują się konie, boć to one są główną podstawą życia na pustyni. Biada podróżnemu, jeżeli mu takowych zabraknie. Napotyka się wprawdzie całe stada tych czworonogów, lecz w stanie zupełnie dzikim; są przeto nie do użycia. A że tą razą nie było potrzeba siodłać do dalszej jazdy, pojawiły do wody, nie mając w pobliżu innej prócz tej, obok której stanęliśmy obozem.

(*) *Boleadora* stanowi narzędzie zabójcze w ręku wprawnego Indjanina lub *gaucia*. Jest to silny, z zupełnego surowca kręcony rzemień długości mniej więcej 3 metrów. Bliżej miejsc cywilizowanych przyczepia się na obydwóch jej końcach funtowy ciężarek (t. j. kulę) z żelaza lub ołowiu, obszyty również w skórę. W pełnym stepie natomiast, gdzie trudno o żelazo i ołów, używa się kamienia — a w braku tegoż (co także nie jest rzadkością) sprytny *gaucio* bierze odpowiedni kawałek skóry, zostawia ją kilka dni we wodzie, następnie tworzy z niej rodzaj woreczka, rozpycha miekką skórę suchuteńkim piaskiem, poczem zawięzuje woreczek silnym rzemykiem jelitowym i przyczepia taką kulę piaskową do końcy rzemienia mającego tworzyć *boleadorę*. Zważywszy, że objętość woreczka z miękkiej skóry, wypchanego suchym piaskiem, zmniejsza

Podczas gdy chłopak poszedł za końmi, ja zabrałem się do odmawiania porannych modlitw i brewiarza; następnie rozłożyłem ołtarzyk misyjny, aby być gotowym do odprawienia Mszy św. zaraz po powrocie mego przewodnika, który zapoznał się jako tako z główniejszymi obrotami przy służeniu do Mszy św. Oczekiwałem również na Indjan, z którymi zapoznałem się dnia poprzedniego, gdyż przyobiecali byli odwiedzić mnie wczesnym rankiem. Po mniej więcej półtorej godziny powrócił mój przewodnik; konie były wszystkie: przygnał je nieco bliżej, aby mieć je na oczach. Jak zawsze, tak i tą razą przyniósł z swej wycieczki ładną zdobycz na śniadanie: był to tłusty pancernik (1), których jest wielka ilość w Pampasach.

Z odprawieniem Mszy św. czekałem jeszcze chwilę, ale Indjanie jakoś nie nadchodzili. Nie chcąc dłużej zwlekać, poleciłem przewodnikowi,

się o pewien procent gdy wyschnie, nietrudno stąd wyobrazić sobie, że kula taka nabiera formalnie twardości kamienia lub żelaza. Oprócz trzymetrowego rzemienia, przysposabia się jeszcze jeden rzemień 1 1/2 metra długi; jednym końcem przyczepia się go w sam środek rzemienia trzymetrowego, a na drugim końcu przytwierdza się kulę takiej objętości, iżby wygodnie w ręku trzymać ją można. Na odległość 50 do 70 metrów stanowi ten przyrząd coś strasznego. Strzała puszczona z łuku przez Indjanina podzwrotnikowego, jest niczem w porównaniu z *boleadorą* Indjanina patagońskich Pampasów. Jakkolwiek strzała puszczona z łuku może być śmiertelną, to jednak jest narzędziem we formie o tyle łagodniejszej, o ile zmierza do jednego tylko punktu, podczas gdy *boleadora* niesie śmierć w trzymetrowej szerokości.

Indjanin lub *gaucio* Pampasów *boleadorą* kładzie na miejscu trupem swoje zdobycze: strusia, jelenia, stepową krowę, ba — nawet najdzikszego konia pędzącego po stepie zabija na miejscu. Pędzi on na chyżym rumaku za swym łupem, a trzymając w ręku średnią kulę *boleadory*, rozmachuje nad głową dwie większe kule końcowe: kiedy zaś uważa, że jego pocisk wystarczy, aby narzędzie dostało się przed nogi uciekającej zdobyczy, puszcza takowe. Choćby tylko jedna z owych kul dosięgła ofiary, wystarcza to najzupełniej, ażeby drugie dwie obwinęły się około nóg — i zwierzę pada wtedy na ziemię jakby gromem rażone. W swym nagle powstrzymanym pędzie przewraca się kilka razy, łamiąc sobie nie tylko nogi, ale nawet kark i przestaje żyć na miejscu.

Należy podziwiać pomysł patagońskich tubylców w urządzeniu sobie tego rodzaju broni tak odpowiedniej i skutecznej wpośród stepowych obszarów. Zresztą nie mieliby oni i z czego, z braku odpowiednich drzew, ugiąć sobie łuku stanowiącego zwykłą broń szczepów mieszkających na skraju dziewiczych lasów. Indjanin podzwrotnikowy zadowala się zazwyczaj ptactwem gnieżdżącem się na drzewach, do upolowania którego (w braku broni palnej) tylko trafnym strzałem z łuku może osięgnąć swój cel: natomiast *boleadora* Indjanina stepów patagońskich byłaby tam narzędziem zupełnie nieprzydatnem; i na odwrót tak samo jak do ubicia grubej zwierzyny na stepie strzała łukowa na niewieleby się przydała, *boleadora* przeciwnie nawet najgrubszą zwierzynę uśmierca na miejscu.

Drugiem narzędziem powszechnie używanem na stepie jest *laso*. Usługa tegoż jest zupełnie odmienną od *boleadory*. Ta ostatnia w każdym wypadku zabija, podczas gdy *laso* służy do chwytania stepowych koni i bydła w celu rozmaitych manipulacji handlowych i gospodarczych. *Laso* jest to silnie skręcony sznur rzemienny od 15 do 20 metrów długi, jednym końcem przymocowany do siodła a na drugim zaopatrzony w pętlicę. Jeździec otwiera oko pętlicy, zwija w krąg całą linę, puszcza się za zwierzyną, jaką żywą schwycić zamierza i w pełnym galopie — z taką samą zręcznością, jakiej wymaga rzucenie *boleadory*, rzuca *laso* za uciekającem bydlęciem z tą atoli różnicą, że zamiast przed nogi, stara się zarzucić mu pętlicę na szyję. Skoro zauważył, że *laso* odpowiedziało swemu zadaniu, jeździec zatrzymuje swojego wierzchowca; tenże wyćwiczony należycie w tego rodzaju operacjach, natychmiast się obraca i zapiera silnie nogami, aby stawić opór szamocącej się zdobyczy, która coraz to bardziej zacieśnia sobie pętlicę na szyi i w końcu dla braku oddechu powala się o ziemię. Wówczas jeździec zeskakuje z konia, podbiega, odpowiedniemi rzemieniami wiąże bydlęciu nogi, poczem luzuje pętlicę na szyi, aby mu ułatwić oddech. W podobnych przedsięwzięciach, które w rzeczywistości niebezpieczniej się przedstawiają, aniżeli to w kilku słowach można opisać, niektórzy Indjanie i *gauciowie* dają dowody prawdziwego męstwa oraz zręczności, szczególniej gdy takie operacje odbywają się z bydłem rogatem, które w dzikim stanie i w chwili rozdrażnienia przewyższa swą srogością inne zwierzęta. Koń schwycony na *laso* zazwyczaj w kilku sekundach pada na ziemię; lecz bydło rogate — jakoby ufając swym rogom — zamiast zaciągnąć pętlicę na szyję, biegnie rozszalałe za jeźdźcem, który swej własnej a często zręczności przywykłego do opierania się takim niespodziankom wierzchowca zawdzięczać może swe ocalenie. Operacja z *lasem* (laso) odbywa się przynajmniej raz na rok w celu zbierania włosia (t. j. strzyżenia koniom grzyw i ogonów), ujeżdżania źrebców, znaczenia młodego bydła żalazną, rozpaloną w ogniu pieczęcią, mającą zwykle inicjały właściciela itp.

Laso i *boleadora* są to dwa nieodstępne przyrządy każdego rodowitego mieszkańca stepów; przyrządy te przenoszą oni nawet nad broń palną, z którą zresztą ani należycie obejść się nie potrafią, ani ocenić jej wartości.

(1) Zwierzę ssące z rzędu szczerbowatych, podobne do żółwia.

aby ich pouczył jak się mają zachować, w razie gdyby przyszli podczas Mszy św. — i zabrałem się do dzieła. Wydałem zaś takie rozporządzenie, ponieważ obawiałem się aby Indjanie w dziecinnej swej prostocie na widok ołtarza, kielicha, ornatu, krzyża itd. nie przeszkadzali mi podczas świętej Ofiary. Obawy moje nie były płonne. Mniej więcej na *Sanctus* pojawili się na skałach i skierowali się ku nam. Nie zważałem na nich, ale przypuszczam, jakie wrażenie musiał na nich wywrzeć mój byłoby uległo roztargnieniu. Jeden z nich dźwigał na ramieniu jakiś skórzany tłumoczek; gdy się zbliżył do ołtarzyka, wysypał z owego tłumoczka prawie pod moje nogi kilkadziesiąt prześlicznych brzoskwiń, których część dotykała zupełnie moich stóp, tak że ani się poruszyć, ani przyklęknąć swobodnie nie mogłem. Odgadł przykre moje położenie służący i z pewnego rodzaju oburzeniem na tego, który w ten sposób pojął polecenie należytego zachowania się, odgarnął owoc na bok. Lecz nie koniec na tem.



Z wycieczki misyjnej ks. St. Cynalewskiego *(Krajobraz argentyński).*

strój i całe urządzenie ołtarzyka. Zbliżali się się zwolna, ze zdumieniem — i jakoby powątpiewaniem czy ja byłem ten sam, którego oni poprzedniego wieczora widzieli. Moje ubranie i dziwne dla nich zachowanie się, nie byłyby zapewne ośmieliły ich do zbliżenia się, ale rozpoznali mojego przewodnika, który po dwumiesięcznym ze mną pobycie był już stosunkowo dosyć przejęty ważnością aktu Mszy św. Tenże, by wypełnić moje polecenie, wyszedł im kilka kroków naprzeciw i przykazał, by się zachowali skromnie. Co ci prostaczkowie pod tem poleceniem skromności i spokoju zrozumieli, wnosić można z wielkiego kłopotu, w jaki mnie w najważniejszej chwili Mszy św. wprawili. Stało się to zaś z powodu okoliczności, w której nawet największe skupienie ducha

Zaciekawieni mojem ubraniem, zaczęli oglądać mnie ze wszystkich stron, dotykać z podziwem ornatu, pomimo że był nader skromny, i nawzajem robić sobie uwagi, uważając go za część ubioru, jaki oni mieli na sobie. Noszą oni bowiem zwykłą skórę ze sarny lub z guanaka, przeciętą u góry o tyle, o ile to jest potrzebne do przesunięcia przez taki otwór wygodnie głowy. Skóra taka zwiesza im się z ramion — podobnie jak kapłanowi ornat. Nie było sposobu poskromienia ich ciekawości, gdyż raz chwytali za świeczniki, to znowu za krzyż lub mszał, ba — nawet kielich nie byłby uszedł ich pilnemu badaniu, gdybym nie był stanął w jego obronie.

Łatwo stąd sobie wyobrazić, w jak przykrem znalazłem się położeniu, nagabywany usta-

wicznie nieświadomością i prostotą moich stepowych gości. Napróżno silił się mój przewodnik usunąć ich i nakłonić do stania spokojnie na miejscu. Nigdy też nie doznałem takiego roztargnienia podczas Mszy św., jak właśnie tym razem.

Wreszcie skończyłem Najświętszą Ofiarę, zrobiłem moim gościom odpowiednie uwagi na przyszłość i spytałem ich, skąd przynieśli wyżej wspomniany owoc, który, z powodu odżywiania się nieustannie i wyłącznie mięsem, czas mojej Mszy św., wdrapałem się z nimi na skały. Napróżno jednak wytężałem wzrok, aby odkryć ten nowy *Eden*. Uszliśmy z jakie dwa kilometry, gdy wtem spostrzegłem dziwne wśród stepu zjawisko. Tuż u stóp przedstawił mi się rozłam skały w kształcie lejka, obejmujący na spodzie mniej więcej hektar ziemi. Na tymże gruncie, odpowiadającym w zupełności powierzchni stepu, zoczyłem śliczny brzoskwiniowy lasek. Tu również wytryskało źródełko słodkiej wody, która krętem i nie



Z wycieczki misyjnej ks. St. Cynalewskiego *(Śniadanie w podróży misyjnej).*

był niejako opatrznościowym dla mojego żołądka. Wyjaśnili mi skąd owoc pochodzi, okazując gotowość zaprowadzenia mnie na miejsce. Dla mnie ta okoliczność była prawdziwą zagadką; nie mogłem pojąć jakim sposobem w tem dzikiem i odludnem miejscu, wśród tych gołych skał, gdzie zaledwie suchy wyrasta mech, może się znajdować jakakolwiek wegetacja. Lecz wierzyć musiałem na podstawie dowodów tego szlachetnego owocu, którego woń i smak byłyby zadowoliły najwybredniejszego smakosza, a cóż dopiero mnie, pragnącego choćby tylko małej zmiany w zwykłem pożywieniu.

Po krótkiej katechizacji i spożyciu śniadania, nęcony może nawet większą ciekawością odkrycia tajemnicy istnienia drzew owocowych, aniżeli ta, którą odznaczali się Indjanie pod- zawsze widzialnem korytem wypływała właśnie w tem miejscu, gdzie staliśmy obozem. Jakie wrażenie zrobiła na mnie ta prawdziwa oaza wśród dzikiej stepowej przyrody, piórem tego opisać, ani słowami wypowiedzieć nie jestem w stanie.

Widok zielonych drzew, ozdobionych złocistym owocem, a pod niemi chłód, cień i świeża woda, wszystko to razem wzięte, posiadające już samo w sobie coś poetycznego — a cóż dopiero w suchej, bezludnej pustyni, mimowolnie budzi w człowieku hołd i poczucie głębokiej wdzięczności ku Stwórcy wszechświata.

Ze względu na to, że aby dojść do tej atomicznej cząstki *ziemi obiecanej,* trzeba było niewygodnie spuszczać się na dół, zatrzymałem się wpierw długą chwilę u górnej

części skały, racząc me oczy tem tak niezwykłem zjawiskiem. Wreszcie z pomocą moich towarzyszy zacząłem zwolna postępować ku dołowi. W ścianie skały zauważyłem tu i ówdzie pewne oznaki dzieła ludzkiego: były to wydrążenia (podobne do framug) ręką ludzką wykute, o mniejszych i większych rozmiarach. Chciałem zbadać wnętrze przynajmniej niektórych z tych jam, ale odradzono mi tego, gdyż stanowią one kryjówkę rozmaitych gadów. Atoli mniej więcej w połowie drogi sami Indjanie poprosili mnie, abym wstąpił do jednej z owych pieczar; z podziwem spostrzegłem, że było to ich własne mieszkanie, wysłane rozmaitemi skórami i zaprzątnięte rozłożonymi w nieładzie przedmiotami do codziennego użytku i do polowania.

Zeszliśmy w końcu na sam dół tego zagłębienia. Przecudne to było miejsce, zasłonięte wokoło od właściwych podmuchów *Pampero* (*), które (z wyjątkiem trawy) utrudniają a raczej uniemożliwiają formalnie rozrost drzew większych rozmiarów. W tem zaciszu natomiast, otoczonem zewsząd skałami, wyższemi od południa, skąd zimne wieją wiatry, a niższemi od północy, gdzie ciągle słońce przyświeca i grzeje, roślinność swobodnie rozwijać się może. Przyjrzałem i zastanowiłem się dobrze nad układem tej tajemniczej i ukrytej plantacji drzew brzoskwiniowych. Zauważyłem, że zaledwie kilka starych drzew zachowało pewną symetrję, reszta zaś rozmaitego wieku i wielkości rośnie w zupełnym nieładzie, świadcząc niejako o naturalnem swem pochodzeniu od pierwotnie zasadzonych kilku egzemplarzy. W składnikach ziemi większość stanowi *humus,* tworzący się od wieków z nagromadzonych tamże części organicznych zwierząt i mchów, jakie gwałtowniejsze deszcze spłukały z bocznych ścian skały.

W późniejszem badaniu tego niezwykłego zjawiska doszedłem do przekonania, że wspomniana plantacja oraz owe wydrążenia w skale są dziełem misjonarzy Jezuitów, którzy po utworzeniu kwitnących redukcji w Paraguaju i Missiones wśród Indjan « *Guaranies,* » rozszerzyli swą działalność także na Chile, skąd przeprawiając się przez Kordyliery, robili wycieczki do poszczególnych części Patagonji, a więc i do Pampasów. Tutaj jednak usiłowania ich okazały się bezskutecznemi, gdyż wysłani misjonarze albo padali ofiarą okrucieństwa barbarzyńskich szczepów, albo też cudem tylko uchodzili z grożącego im niebezpieczeństwa. W Pampasach wogóle nie istnieją żadne inne ślady działalności tych dzielnych szermierzy prac apostolskich. Natomiast w Kordylierach świadczą o ich pobycie całe lasy jabłoniowe, podobnie jak w redukcjach w Paraguaju i Missiones obszerne i prześliczne plantacje drzew pomarańczowyvh, ukrywających w swym cieniu ruiny pięknych budynków. Oaza zatem w *Sierra Lihuel Calel* nie może być dziełem kogo innego, jak hiszpańskich OO. Jezuitów. Tak ta miejscowość, jak i widziane przezemnie przed kilku laty wspaniałe pamiątki w Paraguaju i Missiones, wzbudziły w mem sercu głęboki szacunek ze względu na wspomnienie, ile to tu ci gorliwi synowie św. Ignacego wycierpieli dla chwały Bożej (*).

(*) *Pampero* jest to perjodyczny wiatr na stepie Pampa, panujący mniej więcej od połowy sierpnia do połowy listopada, a więc w tamtejszym czasie wiosennym. Wiatr ten jest tak systematyczny, że codziennie rozpoczyna się pomiędzy godziną 8 a 9 rano, wzmaga się aż do południa, następnie zaś zmniejsza się stopniowo tak, że około godziny 5 lub 6 po południu ustaje zupełnie — i cisza grobowa zalega znowu step aż do następnego poranku.

(*) Z powodu wyjazdu naszego misjonarza z powrotem do Ameryki, zamykamy niniejszem opis jego wycieczki do Pampy, gdyż dokończenia nie napisał, pomimo że nasz wydawca bardzo go swego czasu o to prosił.

(Przyp. Wydawnictwa).



Trzęsienie ziemi w Meksyku.

W połowie kwietnia ogłaszały dzienniki niepokojące wieści o silnem trzęsieniu ziemi w Meksyku. Podawano znaczną liczbę ofiar katastrofy, pisano o zniszczonych do szczętu miejscowościach, o zalanych portach, o przerwaniu torów kolejowych i połączeń telegraficznych. Niepokój nasz o losy współbraci i wychowanków czterech tamtejszych zakładów był tem większy, że telegraficzne wiadomości

gazet były zbyt skąpe i niepewne, a nie były nam jeszcze wyszły z pamięci zastraszające sceny, jakie się niedawno rozgrywały po naszych domach podczas pożaru w Londynie i trzęsienia ziemi w Kalifornji, w rzeczypospolitej chilijskiej i na wyspie Jamajce.

Pewne uspokojenie nastąpiło dopiero wtedy, gdy ogłoszony został następujący telegram naszego ks. Inspektora w Meksyku do czcigodnego ks. Jenerała: *Trzęsienie ziemi; szkody; żadnej ofiary w ludziach; piszę.*

Więc choć olbrzymie mogą być szkody, zwłaszcza w stolicy, gdzie wznosi się wielki zakład wychowawczy, — to przecież i tą razą czuwała nad nami Opatrzność Boska, skoro w żadnym z czterech zakładów ani z 500 internów i tyluż eksternistów, ani z licznych współbraci nikt nie odniósł nawet jednej rany. Kto ich ratował? Niewątpliwie *Marja Wspomożycielka,* której figura została w stolicy uroczyście ukoronowana na dziedzińcu zakładowym 16. grudnia zeszłego roku. Gdy wówczas delegat papieski w obecności trzech arcybiskupów dopełniał aktu koronacyjnego, nikt z wielu uczestników uroczystości nie przypuszczał, aby tak blizką była klęska, w której Marja ratować ich miała od śmierci i kalectwa. Fakt ten pozostanie pamiętny w kronikach nabożeństwa do Wspomożycielki Wiernych.

Jakich rozmiarów są szkody wyrządzone trzęsieniem, dowiemy się o tem z listów, których wyczekujemy z Ameryki a które umieścimy w następnych zeszytach. Dziś robimy tylko tę wzmiankę, że większe uszkodzenie zakładów byłoby tem boleśniejsze, iż Zgromadzenie jest od dłuższego czasu finansowo zupełnie wyczerpane, a zakład w Meksyku doszedł do rozkwitu nie od razu, lecz po wielkich próbach, które go czynią tem milszym sercu Najprzew. Ks. Jenerała.



Św. Tomasz po zwycięstwie 1).

Zatrzasł podwoje, rzucił w ogień głownię;
A z burzą w sercu i z ogniem na twarzy
Upadł na ziemię święty młodzieniaszek.
Drżące ramiona do skały przyciska
I całą duszą, całą woli siłą
Odrywa pamięć od minionej chwili
I, jak do ojca, do Boga się tuli:
,,Dzięki Ci Boże! jeszcze czuję, wierzę,
Żem Twoje dziecko, Ty mój ojciec drogi!
Jeszcze to czuję, dusza się weseli,
Że chrztu sukienka niesplamiona, cała,
Nic nie straciła z swej anielskiej bieli.
Dzięki Ci Boże! Za tę męstwa chwilę
Jabym Ci oddał wszystkie życia chwile.
Wszystkie co młodej wyobraźni siła
Tworzy mi w myślach obrazy przyszłości,
Wszystkie mej woli szlachetne porywy,
Umysłu górne, czarujące błyski;
Wszystkie pamięci, wszystkie serca czucia,
Wszystko oddałbym za tę jedną chwilę.
Niech duch i ciało wije się w męczarni
Po długie lata. Niech dla oczu tkliwych
Nigdy nie zejdą piękne dnia promienie;
Niech tej pieczary wiekuiste cienie
Strawią mój żywot; niechaj zapomniany,
Wzgardzony zginę w czeluściach więzienia!
Wszystko mi łatwem po tej męstwa chwili,
Wszystko rozkoszą po tej ciężkiej chwili.
Lecz jeśli zbawion Twą wszechmocną ręką
Wrócę do dawno upragnionej celi,
Jeśli pozwolisz, bym czerpał ze skarbów,
Z których swoją mądrość czerpią anieli,
Jedna mi tylko świecić będzie gwiazda,
Jedno pragnienie kierować me sprawy:
Tak żyć i działać, jak żyją anieli,
Tak czuć i myśleć, jak myślą anieli.''
W tej chwili serce gwałtowniej zabiło,
Od blasku światła zaćmiły się oczy;
Śpiew rajski uśpił wszystkie ducha zmysły:
Anioł mu więzy koło bioder toczy.
Jęknął młodzieniec w nieludzkich boleściach,
Lecz wnet w swem sercu uczuł pokój błogi:
To duch karności pogodę rozlewa
Na drżące członki rozognione bojem.
Już się myśl, serce nie burzy, nie gniewa,
Umysł nie straszy wabnych myśli rojem.
Młodzian powstaje — a z białego czoła
Bije majestat nie człeka — Anioła.

1) Wiersz (ze *serji daszawskiej*) opisuje pierwsze chwile po zwycięźeniu pokusy, gdy św. Tomasz z Akwinu, zamknięty w lochach, rozpaloną głownią odpędził od siebie nasłaną przez braci kusicielkę.

* *



Ks. Bosko i Dominik Savio (1).



Zdarzenia nadzwyczajne.

Dotąd opowiadałem rzeczy, które nie zawierały w sobie nic nadzwyczajnego, jeżeli czemś nadzwyczajnem nie zechcemy nazwać wzorowego w każdym czasie zachowania się, udoskonalającego się coraz bardziej niewinnością życia, pokutą i pobożnością. Możnaby również jako rzecz nadzwyczajną określić jego żywą wiarę, mocną nadzieję, miłość gorącą, wytrwanie w dobrem aż do ostatniego tchnienia. Chcę tu jednak wspomnieć o łaskach niezwykłych, o niepospolitych czynach. Może się one spotkają z krytyką i dlatego sądzę, że nie będzie od rzeczy zwrócić Czytelnikom uwagę na to, że to, co tu przytaczam, przywodzi nam na pamięć podobne zdarzenia zapisane w Biblji i w żywotach świętych; podaję fakta, których byłem naocznym świadkiem i zapewniam, że piszę szczerą prawdę, pozostawiając zresztą Czytelnikowi wszelką swobodę, aby o nich w swej dyskrecji sądził, co zechce. Oto jak się rzeczy miały.

Często a zwłaszcza tego dnia, w którym przystąpił był do Komunji św. lub kiedy Przenajświętszy Sakrament był wystawiony, wszedłszy do kościoła, do tego stopnia popadał w zachwyt i tracił władzę zmysłów, że nawet po oznaczonym czasie nie przychodził do siebie i musiano go do zwykłych zajęć wołać.

Pewnego dnia zdarzyło się, że nie było go ani na śniadaniu, ani w szkole, ani na obiedzie. Nikt nie wiedział, gdzieby się mógł znajdować; daremnie też szukano go w studjum i sypialni. Gdy o tem doniesiono Dyrektorowi, ten domyślił się zaraz, że prawdopodobnie pozostał w kościele, co mu się już kilkakrotnie przedtem było przytrafiło. Udaje się więc do kościoła, idzie do chóru i znajduje Dominika nieruchomego, jak posąg. Miał jedną nogę założoną na drugiej, jedną rękę sparł na pulpicie a drugą trzymał na piersiach. Twarz zwrócona ku ołtarzowi, wzrok utkwiony w tabernakulum. Dyrektor woła go, a on nic. Zbliża się do niego, rusza go i dopiero wtedy Dominik zwraca się do Dyrektora i mówi:

— O, czy już po Mszy św.?

— Patrz, odpowiada Dyrektor, pokazując mu zegarek. — Już druga godzina.

Dominik przeprosił pokornie za przestąpienie porządku dziennego, poczem Dyrektor posłał go na obiad, mówiąc:

— Jeżeli cię się będą pytali, gdzieś był, powiedz, że byłeś spełnić moje polecenie. Tak unikniesz wielu niepotrzebnych pytań, któremiby cię towarzysze mogli niepokoić.

Innego dnia, ukończywszy zwykłe dziękczynienie po Mszy św., zabierałem się do wyjścia ze zakrystji, gdy wtem słyszę w chórze głos jakby osoby rozmawiającej. Idę tam i widzę Dominika. Mówił i przerywał, jakby słuchając odpowiedzi. Między innemi słyszałem te słowa: „Tak, mój Boże! Już ci powiedziałem i znowu powtarzam, że cię kocham i chcę cię kochać do śmierci. Jeżeli wiesz, że miałbym cię kiedy obrazić, ześlij mi śmierć. Tak, raczej umrzeć, niż zgrzeszyć."

Zapytywałem go niekiedy, co czyni w takich razach, a on mi odpowiadał z prostotą: „Biedny ja! Popadam w roztargnienie, w jednej chwili tracę wątek modlitwy i zdaje mi się, że widzę rzeczy tak piękne, iż mi godziny mijają, jak jedna chwila."

Pewnego dnia wszedł do mojego pokoju, mówiąc:

— Niech ksiądz Dobrodziej prędko idzie ze mną, bo jest coś pięknego do zrobienia.

— Gdzie mnie chcesz poprowadzić?

— Niech się ksiądz Dobrodziej spieszy. Prędko, prędko!

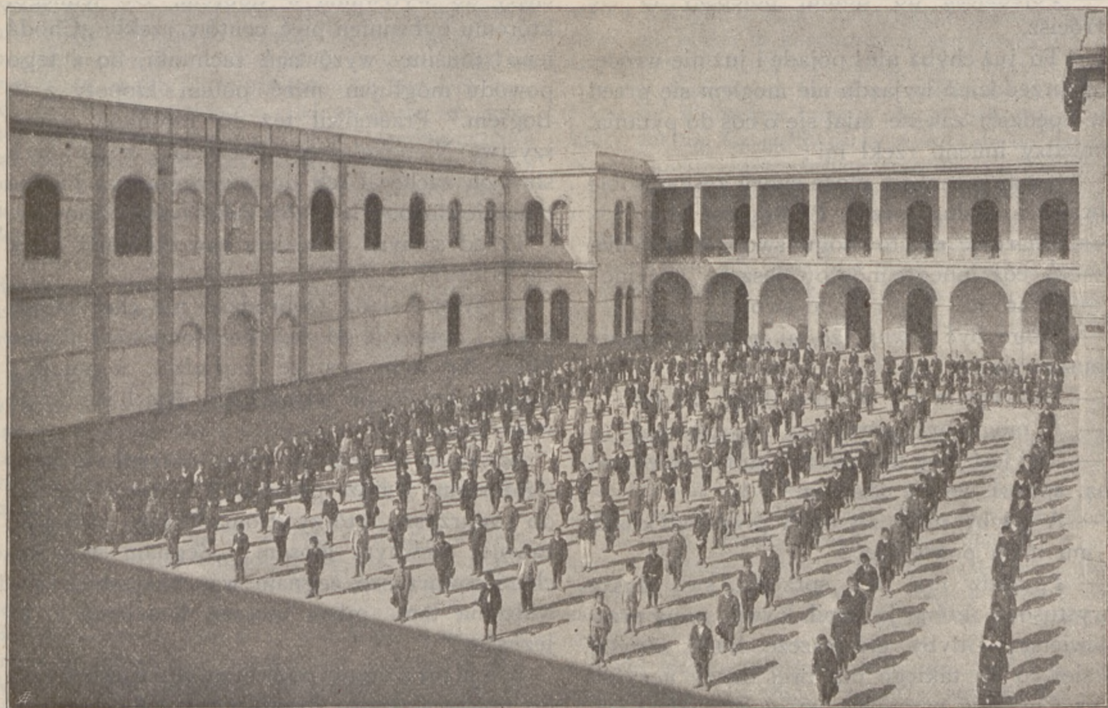
Ja się jeszcze wahałem, ale ponieważ on natarczywie nalegał a ja już nieraz przekonałem się był o ważności podobnych jego wezwań, zabrałem się i poszedłem za nim. On wychodzi z domu, idzie jedną ulicą, drugą, trzecią, nie zatrzymując się nigdzie, nie odzywając się ani jednem słowem. Jeszcze raz skręca i nagle wstępuje do bramy jakiegoś domu, wchodzi na schody, idzie na trzecie piętro, dzwoni silnie i oddala się zaraz, mówiąc do mnie: „To tu

(1) Zob. numer 5. *Wiadomości sal.* str. 125 i nast.

trzeba wejść." — Gdy mi drzwi otworzono, słyszę z wnętrza takie wołanie: „Prędzej, prędzej! Inaczej będzie po niewczasie. Mój mąż przeszedł dawniej na protestantyzm, a obecnie leży konający i pragnie umrzeć jako dobry katolik." — Zbliżyłem się zaraz do łoża chorego: okazywał gorące pragnienie ratowania swej duszy. Kiedy z największym pospiechem uporządkował sprawy swego sumienia, przybył z kościoła św. Augustyna wikary, którego

roztargnienia i zdaje mi się, że niebo otwiera się nad moją głową; wtedy muszę się oddalić od towarzyszy, aby im nie mówić o rzeczach, z którychby się może śmiali.

Pewnego razu rozmawiano na pauzie o wielkiej nagrodzie zgotowanej przez P. Boga w niebie tym, którzy nie plamią sukienki czystości. Między innemi mówiono, że niewinni są w niebie najbliżej Boskiego Zbawiciela i będą mu na wieki śpiewali szczególne hymny pochwalne.



Meksyk. - Młodzież zakładu salezjańskiego krótko przed trzęsieniem ziemi.

jeszcze pierw zawezwano. Wziął się zaraz do udzielenie olejów świętych, ale musiał przerwać, bo po pierwszem namaszczeniu chory wyzionął ducha.

Raz chciałem wybadać Dominika, skąd mógł wiedzieć o owym chorym, lecz on spojrzał na mnie żałośnie i nie odpowiedziawszy nic, zaczął płakać. Wobec tego zaniechałem dalszych pytań.

Niewinność życia, miłość ku Bogu, tęsknota za rzeczami niebieskiemi doprowadziły serce i umysł Dominika do takiego stanu, że bezustannie był zatopiony w Bogu. Często przerywał zabawę, kierował wzrok swój w jedną stronę i poczynał przechadzać się sam na sam. Zapytany o powód, dla którego opuszcza towarzyszy, odpowiedział: „Napadają mnie zwykłe

Wystarczyło to dla Dominika, aby jego ducha wznieść do Pana: stał się nieruchomy i padł jak martwy w objęcia obok stojącego chłopca.

Te uniesienia a raczej zachwyty ducha zdarzały się także w studjum, na drodze do szkoły i w samej szkole.

Dominik musi wracać do rodziny.

Dominik zapadał coraz więcej na zdrowiu i z boleścią myślał o konieczności powrotu do domu, gdzie miał się wyrzec ulubionych nauk i wielu praktyk nabożnych. I ja byłem zbolały i byłbym go za wszelką cenę zatrzymał, bo kochałem go miłością, jaką najczulszy ojciec może żywić dla swego najukochańszego dziecka. Niestety lekarz oświadczył się za wyjazdem

i chciałem się jego orzeczenia koniecznie trzymać, tem więcej że od kilku dni dręczył Dominika silny kaszel. Uwiadomiłem przeto jego ojca i postanowiliśmy, że wyjedzie 1. marca 1857 r. Dominik poddał się temu, lecz jedynie z tą myślą, aby się Bogu przez tę nową ofiarę przymilić.

— Dlaczego udajesz się tak niechętnie do domu? spytano go.

— Ponieważ chciałbym umrzeć w Oratorjum.

— Pojedziesz do domu, polepszy ci się i wrócisz.

— To już chyba nie! pojadę i już nie wrócę. W przeddzień wyjazdu nie mogłem się przed nim opędzić; zawsze miał się o coś do pytania. Pomiędzy innemi rzekł mi:

— Jakim sposobem może chory zyskać sobie największe zasługi przed P. Bogiem?

— Ofiarując często Bogu swoje cierpienia.

— A cóż innego mógłby jeszcze uczynić?

— Ofiarować Bogu życie swoje.

— Mogę być pewny, że mi grzechy zostały odpuszczone?

— Zapewniam cię w imię Boga, że tak.

— A mogę być pewny, że się zbawię?

— Tak jest. Bóg miłosierny, który czuwa nad tobą, sprawi, że się zbawisz.

— A gdyby mnie zły duch przyszedł kusić, co mu mam powiedzieć?

— Powiedz mu, żeś sprzedał swą duszę Chrystusowi, który ją kupił Krwią swoją przenajświętszą. Gdyby cię jeszcze kusił, zapytaj go się, co on takiego dla twej duszy uczynił. Jezus Chrystus natomiast wylał wszystką krew swoją, aby uratować duszę naszą od piekła i wprowadzić ją do nieba.

— Czy z nieba będę mógł widzieć towarzyszy w Oratorjum i rodziców?

— Owszem patrzeć będziesz na wszystkie przyszłe losy naszego Oratorjum.

— Zobaczysz rodziców, ich sprawy i tysiące innych pięknych rzeczy.

— A czy będę mógł ich kiedy odwiedzić?

— Będziesz mógł, jeżeli Bóg na to dla swojej czci i chwały zezwoli.

Dominik żegna Oratorjum.

W dzień wyjazdu odprawił z towarzyszami t. zw. *ćwiczenie dobrej śmierci,* przyczem wyspowiadał się i wykomunikował z taką żarliwością ducha, że nie umiem tego wyrazić, chociaż byłem tego naocznym świadkiem. „Muszę to ćwiczenie dobrze odprawić, mówił, bo zdaje mi się, że ono będzie naprawdę przygotowaniem do dobrej śmierci. Gdybym miał w drodze umrzeć, byłbym już wykomunikowany.”

Resztę czasu przepędził na pakowaniu swych rzeczy, które tak ułożył w kuferku, jak gdyby ich już nigdy nie miał ruszać. Następnie pożegnał się z każdym towarzyszem z osobna, jednemu dał dobrą radę, drugiego upomniał, aby się poprawił, innemu szeptnął słówko zachęty do wytrwania w dobrem. Do jednego, któremu był winien pięć centów, rzekł: „Chodź jeno! musimy wyrównać rachunki, bo z tego powodu mógłbym mieć potem kłopoty z P. Bogiem.” Przemówił też do członków towarzystwa Niepokalanego Poczęcia i w gorących słowach zachęcał ich do wiernego wypełnienia obietnic złożonych u stóp Przeczystej Dziewicy.

Przed samym odjazdem zawołał mnie i tak się odezwał:

— Więc ksiądz Dobrodziej nie chce moich kości i muszę je odwieźć do Mondonio? Tylko kilka dni bym jeszcze zawadzał, a potem... potem... byłoby po wszystkiem. Niech się dzieje wola Boża!

Ściskając czule moją rękę, doszedł do furty Oratorjum. Naraz przystanął i zwracając się do towarzyszy, którzy gromadnie go obstąpili, zawołał rzewnym głosem: „Żegnam was, kochani towarzysze, żegnam was wszystkich! Do widzenia tam, gdzie zawsze będziemy z P. Jezusem!”

Byłem już u bramy podwórza, gdy spostrzegam go powracającego. Przybliżywszy się do mnie, rzekł:

— Proszę o jaką pamiątkę.

— Powiedz, co ci się podoba, a dam ci chętnie. Może chcesz jaką książkę?

— Nie, coś lepszego.

— Czy chcesz pieniędzy na drogę?

— Tak, właśnie pieniędzy na drogę do wieczności. Ksiądz Dobrodziej mówił nam, że otrzymał od Ojca św. niektóre odpusty zupełne na godzinę śmierci. Proszę bardzo i mnie do tych wliczyć, którzy ich mogą dostąpić.

— Dobrze, mój drogi synu. Możesz być wliczony do tych uprzywilejowanych i zaraz twe imię umieszczę tam na spisie.

Po tych słowach Dominik Savio opuścił Oratorjum, w którem blizko trzy lata przebywał z wielką rodością serca swego, budując swym przykładem towarzyszy i przełożonych. Opuścił Oratorjum na zawsze.

WIADOMOŚCI POTOCZNE

OD WYDAWNICTWA. — *Mens sana in corpore sano — Zdrowy duch w zdrowem ciele.* Na tej zasadzie we wszystkich zakładach salezjańskich powstały w ostatnich latach stowarzyszenia gimnastyczne. Nie z nakazu przyszły one do skutku, bo wtedy nie miałyby żadnego uroku, ale naturalnie, samodzielnie; najczęściej myśl sama wychodziła od młodzieży, znajdując w przełożonych gorących zwolenników i organizatorów. Cel wszędzie ten sam: uprzyjemnić mozolne lata studjów i terminu uczciwą zabawą, rozwijającą siły fizyczne. Organizacja też prawie wszędzie jednakowa, tylko stroje różne i nazwy, jak: *sokół, fulgor, robur, auxilium, valdocco, fert i t. p.*

W następnym numerze omówimy znaczenie wychowawcze kółek gimnastycznych, rozbierzemy ich ustrój, podamy wzorowy regulamin i t. d. Objaśniamy rzecz fotografjami z różnych zakątków świata.

OŚWIĘCIM. — *14. kwietnia 1907.* — Na cóż te wystrzały z moździerzy i te flagi? Bo to imieniny naszego ukochanego Inspektora ks. Emanuela Manassero. Przypadają one wprawdzie w marcu, ale wówczas się przełożony gdzieś ulotnił i musieliśmy czekać tak długo, aż wróci.

Tylko okiem spojrzeć, a znać, że święto wielkie. Przełożeni i wychowankowie nie szczędzili pracy, aby w skromny bodaj sposób okazać swą wdzięczność i przywiązanie solenizantowi. Sala rekreacyjna nie wyglądała na korytarz, w którym wychowankowie dają folgę swej żywości, lecz na salę tronową. Wzdłuż ścian i z łuków sklepienia zwieszały się girlandy; na filarach poumieszczano chorągiewki. Wgłębi sali widać było podwyższenie, rodzaj tronu, nad którym zawisł baldachim w guście wschodnim; po bokach wisiały makaty.

Rano odstąpiono od tradycji dzwonków elektrycznych; młodzież obudziła się przy miłym odgłosie trąb i kotłów. W kościele suma z asystą i z harmonijnym zestrojem wszelkiego rodzaju kompleksów muzycznych. Kazanie pełne ciepła wygłosił ks. Dyrektor zakładu.

Po południu popisowe ćwiczenia młodego zakładowego *Sokoła*. Trzeba ich było widzieć! Oklaski sypały się po każdym występie.

Po nieszporach wieczorek muzyczno - deklamacyjny na cześć ks. Inspektora. Wszystko miało się odbyć poufnie w gronie rodzinnem, dlatego nie zaproszono publiczności. Po wręczeniu darów, przeważnie aparatów kościelnych, następowały bez przerwy deklamacje (pierwsza wystąpiła reprezentacja daszawska), śpiewy, gra orkiestry smyczkowej i dętej.

..... Po hałasach miała nastać grobowa cisza i skupienie: trzydniowe rekollekcje. Niejeden się może niepokoił: 4 kazania dziennie, na pauzach nie wolno biegać, trzeba mówić półgłosem a podczas rekreacji podwieczorkowej nawet milczeć. To rygory, które może byłyby uszły niegdyś w wiekach średnich w obrębie wysokich murów konwenckich. Dziś we wieku XX tym, w gronie młodzieży, która na miejscu ustać nie może, to anachronizm, śmieszność i t. d. Czyby natomiast nie było lepiej, aby chłopcom przez trzy dni pozwolono hasać po okolicznych łąkach i lasach? Widocznie innego zdania była młodzież, która chętnie i z gorliwością zabrała się do dzieła. Nastał spokój, który dziwne wrażenie czynił w głośnym zwykle zakładzie. Zabawnie wyglądała pauza podwieczorkowa, gdy każdy ze swą bułeczką w ręku przechadzał się z poważną miną i głęboko zamyślony po korytarzu, lub wsparty o okno zapominał języka w gębie. W końcu rekollekcji wszyscy przystąpili do Sakramentów świętych i odświeżeni na duchu wrócili do mozolnej pracy.

Wpływ tych kilku dni był, jak zwykle, bardzo wydatny.

FAENZA (Włochy). — Zjazd dla spraw kaplic świątecznych odbył się przy udziale ks. Kard. Svampy i sześciu biskupów od 25 do 28 kwietnia w tutejszym zakładzie salezjańskim. Pracom i dyskusjom w sekcjach przewodniczyli księża biskupi. Konkursowe popisy dramatyczne, gimnastyczne i muzyczne młodzieży katolickiej z całych Włoch rozegrały się na boisku zakładowem z tak pomyślnym wynikiem, jakiego nie spodziewali się sami inicjatorowie zjazdu. Młodzież katolicka zmierzyła się i poznawszy swą siłę, z zapałem wracała do domów, uszczęśliwiona nagrodami, z których najważniejsze były: 3 srebrne medale od Ojca św., złoty medal od króla włoskiego, medal srebrny i bronzowy z ministerstwa oświaty, 2 medale srebrne z ministerstwa rolnictwa i handlu, medal srebrny z ministerstwa wojny, 3 złote medale od katolickiego związku kółek gimnastycznych i t. d.

Bliższe szczegóły podamy w następnym numerze.

RZYM. — Dnia 9. kwietnia odbył się na rzecz tutejszego schroniska salezjańskiego wielki koncert, w którym wzięli udział słynna wiolinistka Teresa Tua, pianiści Hipolit Valletta i Joanna Fidebochl oraz baryton Gotfryd Oumiroff. Obecną była królowa - matka Małgorzata, którą z należytymi honorami przyjęło 400 wychowanków zakładu z przełożonymi na czele. Po koncercie królowa zwiedzała cały zakład, począwszy od suterenów, gdzie huczą motory elektryczne, aż do hałaśliwych warsztatów i sypialni na ostatnich piętrach. Rozmawiała serdecznie z młodzieżą zwłaszcza rękodzielniczą i obiecała, że jeszcze raz przyjedzie ucieszyć się ogromnym ruchem, jaki zauważyła w tej wielkiej instytucji dobroczynnej.

VALPARAISO (Chile). — Od naszego korespondenta ks. Ludwika Gorczatego otrzymujemy następujące ciekawe wiadomości:

,,...Dziewięć miesięcy już minęło od owej strasznej katastrofy. Jak głęboko zapisała się ona w duszach strwożonych mieszkańców! Dziś dość wspomnieć we Valparaiso o trzęsieniu ziemi, o zapadaniu się domów, o pożarze, aby niejednemu popsuć humor. Dreszczem przejmujące sceny wytworzyły u wielu chorobliwą wrażliwość, z którą w codziennem życiu spotkać się można na każdym kroku.

,,Pod względem zniszczenia i gruzów miasto dziś jeszcze wygląda wcale klasycznie, to też wszędzie uwija się spora liczba fotografów w pogoni za sensacyjnością. Nienajgorszego materjału dostarczają n. p. dawne ogromne składy drogich towarów, mieszczące się dziś w cynkowych barakach na placach, ulicach, w ogrodach. Potem idą ruiny kościołów i kaplic, których było dwanaście a dziś stoją ledwo trzy i to niezupełnie pewne, bo mury ich popękane a filary nadwerężone. Do dziś dnia leżą nietknięte gruzy ogromnego kościoła trynitarskiego, a nikt się nie chce imać pracy choćby tylko po to, aby wydobyć z pod rumowiska stare dzwony. Ujawnia się w tem głośna obojętność religijna mieszkańców. Jak przed trzęsieniem na 150.000 ludności tylko 4000 słuchało Mszy św. w święta, tak obecnie niema komu pomyśleć o ratowaniu kościołów.

,,Przyszłe Valparaiso, zbudowane według nowych obowiązujących planów rządowych z materjału lekkiego albo żelaza, będzie się we wielu szczegółach znacznie oddalało od dawnych kształtów i tradycji. Ulice będą szersze i prostsze. Wiele gmachów, szpital i jeden kościół skazano ze względów estetycznych na zburzenie. Pomimo powszechnej nędzy odbudowywanie miasta postępuje tak raźnym krokiem naprzód, że do zimy najgwałtowniejsze potrzeby będą zaspokojone. Wobec braku robotnika rozgrywają się ciekawe targi co do pracy: z jednej strony kapitał, spekulacja, przepłacanie i przekupywanie robotnika, z drugiej świadomość swej siły a stąd drożenie się takie, że płaca dzienna dochodzi do 10 i więcej *pesów*. Oczywiście taki stan rzeczy przenosi się i na inne pola ekonomiczne, co wywowało niebywałą drożyznę. Cena chleba n. p. podskoczyła z 30 ct. na 70, a cena mięsa z 40 na 80.

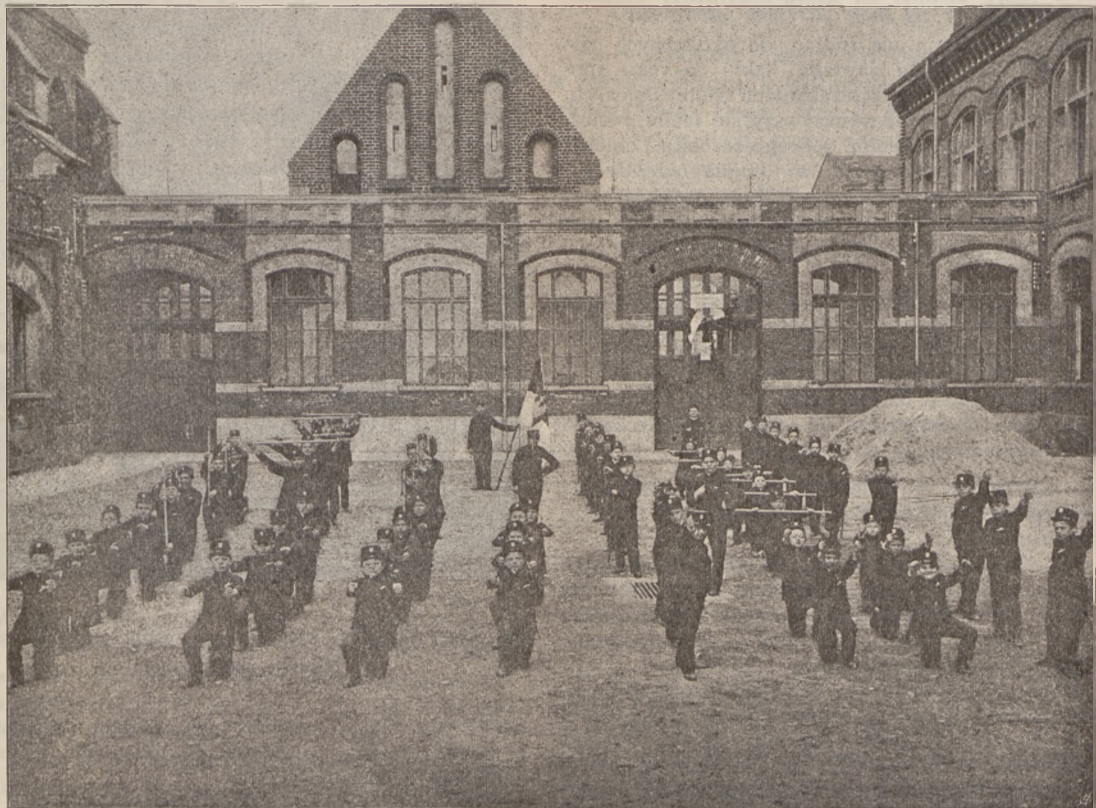
,,Z tych powodów życie w tej *dolinie rajskiej* wcale dziś nie jest rozkoszne. A to nie tylko dziś, lecz nigdy. Miasto leży u stóp skalistych gór i roztacza się wąskim pasem nad zatoką. Nie wygląda bynajmniej na willę ukrytą w zieleni podzwrotnikowych lasów, jak to sobie niejeden Europejczyk wyobraża, ale raczej na wypaloną pustynię. Pagórki i góry, które je od reszty lądu odcinają, są w lecie szare, suche, niepokryte żadną roślinnością; tylko w czasie deszczów zimowych zazieleni się tu i ówdzie jaki krzaczek.



Kółko gimnastyczne *Sokół* w zakładzie salezjańskim w *Oświęcimiu*.

,,Wiadomo, że po trzęsieniu ziemi rozpuściliśmy młodzież a do zakładu przygarnęliśmy kilkaset ofiar katastrofy. Rodziny te mieszkały u nas aż do marca. Wprawdzie zmarniały przezto nasze pyszne ogrody, ucierpiał sam dom, musieliśmy się nawet poddać wszelkiego rodzaju niewygodom, ale chętnie ponosiliśmy wszelkie ofiary, dbając jedynie o utrzymanie i wspieranie licznych nędzarzy. To stanowisko zakładu zjednało Zgromadzeniu wielkie sympatje, których wyrazem był ogłoszony w dziennikach list otwarty tych, którzy w nieszczęściu znaleźli schronienie pod dachem salezjańskim.

,,Wypróżnił się zakład z lokatorów dopiero wtedy, gdy przybywać zaczęli z początkiem roku szkolnego uczniowie. Jest ich o wiele więcej, niż dawniej; wszystkie miejsca są zajęte a to stąd, że prawie wszystkie szkoły rządowe są zniszczone i zastąpione zostały lichemi szopami. Niemniej wpłynął na rodziców pewien upadek szkolnictwa, które chciano tu i ówdzie wzorować na źle pojętych zagranicznych (głównie niemieckich) szablonach, oczywiście z pominięciem nauki religji. Wielu straciło do takiej szkoły zaufanie i nie chcąc jej powierzać swych dzieci, oglądają się za zakładami katolickimi. Na pierwszy plan bywają zwykle wysuwane domy salezjańskie, które mają za sobą pewną przeszłość i dają gwarancję, że zadaniu swemu podołają. Specjalnością naszego internatu we Valparaiso są kursa handlowe i przemysłowe, bardzo cenione i zupełnie odpowiadające dzisiejszemu rozwojowi stosunków i nauk ekonomicznych..."



Kółko gimnastyczne *Sokół* w zakładzie salezjańskim w *Oświęcimiu.*

ZIEMIA OGNISTA (Ameryka Południowa). — Od roku 1893 istnieje na wschodniem wybrzeżu Ziemi Ognistej, pomiędzy przylądkami *Peñas* i *Sunday* stacja misyjna zwana *Candelara*, t. j. Matki Boskiej Gromnicznej. Z morza sterczą tu nagie i strome skały i wysepki o najdziwaczniejszych kształtach, tworzące fantastyczny labirynt, wśród którego morze jest niemal zawsze wzburzone a żegluga prawie niemożliwa. Założenie misji i jej prowadzenie napotkało w początkach na wiele przeszkód i trudności. O dzisiejszym stanie tego ogniska misyjnego pisze nasz ks. prałat Józef Fagnano, Prefekt apostolski, co następuje:

,,Wracam z misji Matki Boskiej Gromnicznej, w której w szczególniejszy sposób zwróciło na siebie moją uwagę poświęcenie współbraci oddanych cywilizowaniu Indjan. Ci uważnie słuchają Mszy św. i kazania, modlą się nabożnie, uczą się katechizmu i na pytania z zakresu nauki religji wcale nieźle odpowiadają.

,,Wielki postęp upatruję w tem, że i do pracy fizycznej do pewnego stopnia już przywykli i znajdują pracę w poblizkich posiadłościach jako woźnice, pasterze, drwale i t. d. W misji pozostało mało

rodzin. Wskutek tego działalność księży o tyle przybrała inne kształty, że obecnie muszą odbywać uciążliwe podróże, aby ochrzczonych Indjan odszukiwać, utwierdzać w wierze i zabezpieczać zagrożoną z wielu stron moralność i uczciwość kobiet i dziewcząt.

,,Gdybyśmy byli mogli według pierwotnego zamiaru wystarać się dla rodzin indjańskich o ziemię i sprowadzić w te okolice pewną ilość zamożniejszych osadników, u którychby tubylcy znaleźli zajęcie jako pasterze, praca nie byłaby dziś tak utrudniona, ale rzeczy wzięły już inny stanowczy obrót skoro ziemia, na którą liczyliśmy, przeszła w obce ręce.

,,Fakt rozejścia się Indjan do okolicznych posiadłości odpowiada zjawisku, jakie co roku spostrzedz można w naszych zakładach rzemieślniczych, gdzie terminatorowie wyuczywszy się fachu, rozjeżdżają się, szukając sobie dobrego zarobku i chleba. Jest to więc chlubą misji, że umiała ociężałych i dzikich tubylców w przeciągu kilkunastu lat wyrwać z gnuśności, obudzić w nich potrzebę pracy i tak przyczynić się niemało do postępu cywilizacji w tych stronach.

,,Sądzę, że kiedy misja Matki Boskiej Gromnicznej tego dokazała, iż sami Indjanie poszli szukać sobie roboty, to obecnie powinniśmy przedewszystkiem zająć się ich dziećmi i w tym celu zorganizować dobrze zakłady w Puntarenas, S. Cruz i Rio Gallegos. Tak przechodzimy od rodziny do dziecka, od właściwych misji do wychowania.''

S. SALVADOR. — O losach naszych domów w tej rzeczypospolitej Ameryki Środkowej pisze nam ks. Misieri :

,,.....Zakład w S. Anna musieliśmy zamknąć z powodu wojny, jaka w zeszłym lipcu wybuchła między naszą republiką a Guatemalą. Na szczęście pokój zawarto bardzo prędko, poczem i prace podjęto w zakładzie na nowo.

Domy w S. Salvador i S. Tecla nie doznały żadnego wstrząśnienia pomimo niepokojów politycznych a niedawno złożyły niezbite dowody, że nie zawodzą oczekiwań, jakie republika w ich pracy pokłada. Pierwszym tego rodzaju dowodem był wielki koncert muzyki kościelnej, na którym występowały wyłącznie siły wokalne i instrumentalne ze zakładu w S. Salvador. Popis odbył się w obecności najlepszych znawców muzyki, kilku ministrów i bardzo licznej publiczności. Wypadł wprost wspaniale.

Zakład w S. Tecla wystąpił z bogatą wystawą artystyczno-pedagogiczną, której otwarcia dokonał minister spraw wewnętrznych. Prezydent republiki, który nie mógł być obecny, nadesłał następujący telegram :

,,Przewielebny ks. Józef Misieri, S. Tecla. — Pochlebne sprawozdanie z aktu dokonanego wczoraj w zakładzie pozostającym pod światłem kierownictwem księży Salezjanów, spotęgowało we mnie żal, że nie mogłem osobiście być na tem wielkiem święcie postępu. Wkrótce zjawi się tam moja żona, aby skosztować czystych rozkoszy artystycznych, których wystawa wczoraj otwarta stała się obfitą krynicą. Przewielebnego Ojca i godnych Jego kolegów upraszam o przyjęcie moich najszczerszych gratulacji.

Oddany i wierny sługa

Piotr Józef Escalón.

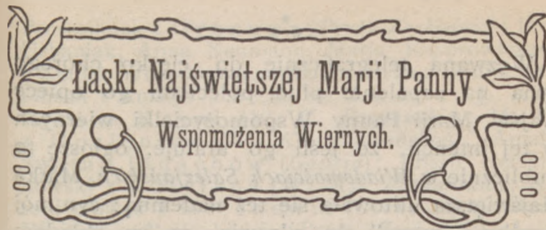


Patagones (Ameryka Południowa). • Kółko gimnastyczne w zakładzie salezjańskim.

MOZAMBIK (Afryka Wschodnia), — Grono misjonarzy salezjańskich wyjechało 1. lutego b. r. z Lisbony do Mozambiku, portugalskiej posiadłości w Afryce Wschodniej. Po bardzo szczęśliwej podróży przybyli 7. marca do małego miasta *Mozambiku*, gdzie ich oczekiwano i radośnie przyjęto. Objęli już zarząd schroniska dla sierot i dzieci opuszczonych.

WAŻNE.

Ponownie zwracamy uwagę tym polskim młodzieńcom, którzy mają zamiar przyjechać do Zakładu salezjańskiego w Ivrei (prow. turyńska) we Włoszech, że w najbliższym czasie wspomniany Zakład zostanie przeniesiony do Daszawy (p. Gelsendorf) w Galicji. Wszelkie zatem prośby o przyjęcie należy odtąd przesyłać na ręce tamtejszego ks. Dyrektora naszego Zakładu, a nie do Ivrei.



Stolico mądrości, módl się za nami!

Siostrzeniec mój, Paweł Nowakowski, zdawał przed Wielkanocą b. r. tak zwany egzamin abiturjencki. Była obawa, że dla niedostatecznego stopnia w matematyce egzaminu nie złoży. Poleciłem go więc modlitwom Zgromadzenia Salezjańskiego w Oświęcimiu do Matki Najśw. Wspomożenia Wiernych. Prośby zostały wysłuchane: piśmienny i ustny egzamin powiódł się szczęśliwie; siostrzeniec poświęca się stanowi kapłańskiemu. Niech go Matka Boska dalej szczęśliwie prowadzi!

Poznań, 26. 3. 1907.

X. prof. Janicki.

***

Po wielu trudach i pracach zyskałem prawo do starania się o lepszą posadę, lecz pomimo tego zaraz takowej otrzymać nie mogłem.

Czytając w zeszłym roku razu jednego *Wiadomości Salezjańskie*, westchnąłem gorąco do Matki Boskiej Wspomożenia wiernych o pomoc, bym posadę, o którą się ubiegałem, przynajmniej do końca marca b. r. mógł otrzymać.

Wrazie dostąpienia tej łaski zobowiązałem się to ogłosić publicznie w *Wiadomościach Salezjańskich* i przesłać na Mszę św. za dusze zmarłych potrzebujących pomocy, oraz na cele salezjańskie małą ofiarę

Prośba moja została wysłuchana, bo ową posadę już od 1. 1. 1907, tj. o trzy miesiące wcześniej otrzymałem. Przesyłam więc przekazem pocztowym 3 korony na Mszę św. dziękczynną i proszę o podanie tych kilku słów do *Wiadomości Salezjańskich.*

Tarnobrzeg (Galicja), 5. 4. 1907.

Franciszek Schwarz
ck. kancelista sądowy.

***

Przed paru laty ślubowałam ogłosić publiczne podziękowanie w *Wiadomościach Salezjańskich*, oraz że będę co miesiąc, dopóki żyć będę, posyłać do Turynu na cele salezjańskie 2 korony, jeżeli Matka Boska wysłucha mej prośby i udzieli mi Swej pomocy. Otóż z sercem przepełnionem najgłębszą wdzięcznością wyznaję, iż stało się według mego życzenia, co zniewala mnie do wykonania uczynionego ślubu, chociaż co prawda już dawno powinnam to była wykonać. Niechaj Ci przeto będą stokrotne dzięki, o Najmiłościwsza Pani, za to, że okazałaś się dla mnie tak bardzo łaskawą!

Przesyłam 2 korony jako pierwszą ratę obiecaną Matce Najświętszej Wspomożenia Wiernych i proszę o pomoc i opiekę dla mnie, dla męża i dla całej mojej rodziny

Radziszów, 19. 4. 1907.

Czesława Przyłęcka.

Uzdrowienie chorych, módl się za nami!

Po niezliczone razy, w różnych czasach i w różnych stronach wezwenie to do błogosławionej Matki Bożej skutek swój osiąga. Znalazłem się w tych dniach na węgierskiej granicy, w górach, przy tartaku, gdzie deski piłują, w mieszkaniu ubogiego robotnika. Trafiłem na rozdzierającą serce scenę: matka zbolała tuliła w objęciach 10-letniego, milutkiego synka, który raptownie, z przestrachu, na głośne i groźne wołanie ojca stracił przytomność. Jedno mu dodatnie wrażenie w biednym, dotkniętym mózgu pozostało: wzywał pomocy Matki Boskiej i innych prosił o modlitwę; zresztą opowiadał niebywałe historje, ojca nie poznawał i odwracał się od niego ze wstrętem i z przerażeniem; widoku innych mężczyzn również nie znosił.

Wszyscy, którzy byliśmy w izdebce, zaczęliśmy się modlić do Matki Boskiej. Po krótkiej modlitwie wyszedłem, bo obowiązek gdzie indziej mię powoływał, choć przyznaję, że z żalem opuszczałem to biedne dziecię.

Jakże bardzo mię za to pocieszył Pan Bóg nazajutrz widokiem tego samego chłopczyka, który, już zupełnie wyleczony, przyszedł mi służyć do mszy i na wypytywanie moje szczegółowe co do wczorajszych zdarzeń, zupełnie przytomnie odpowiadał. Gdym go zapytał, kiedy mu się dobrze zrobiło, naiwnie odpowiedział: „Po modlitwie mamy i Ojca duchownego i potem, jak mama dała mi się napić święconej wody.“

Poczciwa matka złożyła ofiarę na odprawienie mszy św. dziękczynnej, którą ślubowała była w czasie ataku mózgowego biednego swego synka.

Daszawa, 2. 4. 1907.

X. J. K.

Marja najlepszą Lekarką chorych!

Miesiąc temu doszła mię wiadomość, że syn mego przyjaciela zachorował na postępowy paraliż mózgu. Jednocześnie przyjaciel ów prosił mię o odprawienie mszy i o modlitwę do M. B. Wspomożycielki na intencję chorego. Uczyni-

łem to bardzo chętnie i modłom innych współbraci go poruczyłem. Dziś otrzymuję od owego stroskanego ojca następującą wiadomość: ,,Seweryn (chory) jest apatyczny, ale najzupełniej przytomny; lekarze w zdaniach się różnią; niektórzy twierdzą, że może wyzdrowieć. My ufamy w miłosierdziu Boga i Matki Boskiej, że go z tej niedoli podźwigną.''

I ja mam nadzieję, że taka ufność zamieni się wkrótce w pewność, wbrew przeciwną tej, jaką poprzednio lekarze rokowali.

Tymczasem wraz ze stroskanym ojcem dziękuję Matce Najświętszej za zesłanie iskierki nadziei.

Daszawa, 21. 3. 1907. r.

X. J. K.

***

Syn nasz Klaudjusz zachorował na zapalenie nerek; przez 21 dni leżał cały opuchnięty, a przez 3 miesiące nie opuszczał łoża boleści. Przywołany lekarz powątpiewał o jego wyzdrowieniu. W tem tak krytycznem położeniu udaliśmy się do Najświętszej Marji Panny Wspomożenia Wiernych i zamówiliśmy nowennę i Mszę św. u WW. OO. Salezjanów w Oświęcimiu, obiecując, że jeżeli nas ta dobra Matka wysłucha i przywróci choremu zdrowie, ogłosimy to w *Wiadomościach Salezjańskich*. Prośba nasza została wysłuchaną; syn nasz wyzdrowiał zupełnie.

Czyniąc przeto zadość danej obietnicy, sercem przepełnionem wdzięcznością zasyłamy tysiąckrotne podziękowanie Najsłodszemu Sercu Jezusa i Najśw. Marji Pannie Wsp. Wiernych.

Kulparków (Galicja), 28. 3. 1907.

BRONISŁAWA I MAKSYMILJAN KAROWCOWIE.

Marji Wspomożycielce zawdzięczam swe wyzdrowienie.

Przejęta wdzięcznością ku Najświętszej Pannie Wspomożycielce Wiernych, składam publiczne podziękowanie za otrzymaną łaskę.

Oto od dłuższego czasu czułam się bardzo chorą; lekarze radzili mi udać się do kliniki, gdyż jak twierdzili, bez operacji zdrową być nie mogę. Przybywszy do kliniki, gdy się miałam już poddać niebezpiecznej operacji, myśl, że już może nie ujrzę więcej swych dzieci, odjęła mi odwagę i postanowiłam wrócić do domu. Wtedy to poleciłam się opiece Najświętszej Matki Wspomożycielki Wiernych, przyrzekając, iż jeżeli mi się polepszy, złożę publiczne podziękowanie. Obecnie jest mi o tyle lepiej, iż mogę zajmować się domem.

Na Mszę św. dziękczynną składam 5 K., prosząc i nadal o łaskę i opiekę tej prawdziwej Lekarki chorych.

Rumunia, 17. 3. 1907.

EMILJA KOLMAN.

***

Wezwana telegraficznie do ciężko chorego syna na zapalenie płuc, poleciłam go opiece Najśw. Marji Panny Wspomożycielki wiernych w tej intencji, że jeśli go uratuje, ogłoszę to publicznie w *Wiadomościach Salezjańskich*. Matka Najświętsza ulitowała się też nademną; syn mój prędko przyszedł do zdrowia, za co składam Jej niniejszem serdeczne dzięki. Polecając się nadal Jej łasce i opiece, proszę o odprawienie Mszy św. dziękczynnej.

Piołunka (Królestwo Polskie).

F. BORKIEWICZ.

Skutek nowenny do Marji Wspomożycielki.

Przez lat kilkanaście chorowałam na reumatyzm i nieznośny ból we wszystkich nerwach — tak zwaną newralgję. Zasięgałam rady rozmaitych lekarzy, jeździłam również do wód, ale nic to nie pomagało. Choroba ta, na którą często po kilka miesięcy leżeć musiałam, tak mi dokuczyła, iż przez dłuższy czas, z powodu wielkiego bólu w nogach, chodziłam o dwu kijach. Nie wiedząc już innego środka, poprosiłam księdza dyrektora Zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu o Mszę św. i nowennę do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, przyrzekaiąc, iż jeżeli zostanę pocieszoną, ogłoszę to w *Wiadomościach Salezjańskich*.

Doznawszy upragnionej pociechy, gdyż obecnie mogę chodzić i pełnić moje obowiązki jak dawniej, wywięzuję się z danego przyrzeczenia, dziękując pokornie Najświętszej Marji Pannie Wspomożenia wiernych za przywrócenie mi zdrowia i prosząc o dalszą opiekę.

Krobia (W. Ks. Poznańskie).

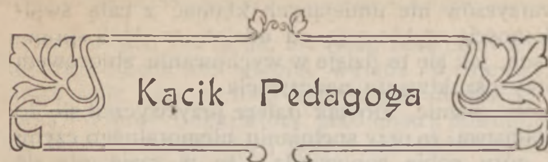
ELEONORA BZYLOWA.

***

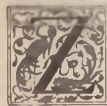
Dziękują Najświętszej Marji Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezjańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Felicja Badurska z Margonina (*W. Ks. Poznańskie*); Wiktorja Kuryło z Borzęcina (*Galicja*); T. H. z Prus Zachodnich; Walenty Bartniczak z Chrzanu (*W. Ks. Poznańskie*); N. Idzikowska z Mangsic (*Średni Śląsk*); Ignacy Śreniawski z Oświęcimia (*Galicja*); J. Dembska z Lidzbarku (*Prusy Zachodnie*); M. G. z Lubienia (*Galicja*); Teofil Bas z Łabęt (*Górny Śląsk*); Stefan Dressler z Poznania; Joanna Wasyłowicz z Łosiacza (*Galicja*); J. R. i E. B. z Laszek (*Galicja*); Katarzyna Krosna z Pawłowic (*Górny Śląsk*); Stanisław Klausek z Brzeżan (*Galicja*); Janina Kapecówna z Olesna (*Galicja*); Anastazja Farulewska z Poznania; Jan Sewerin z Brzezinki (*Górny Śląsk*); W. Chodorowska z Choczni górnej (*Galicja*); St.

Prostojanek z Gronowa (*Prusy Zachodnie*); Józef Urbaniak, Anna Neumann, Marja Kasprowiczowa i Emilja Woźniakowa z Poznania; Emilja Kropińska i Amalja Turecka ze Lwowa; J. Kawczyński z Kcyni (*W. K. Poznańskie*); M. W. z Opalenicy (*W. Ks. Poznańskie*); Amalja Swięch z Jadachów (*Galicja*); Juljan Hertmanowski z Kościana (*W. Ks. Poznańskie*); Antoni Nowak z Miechowic (*Górny Śląsk*); Marja Wojtaś z Pelplina (*Prusy Zachodnie*); J. J. z Martynowa nowego (*Galicja*); Teodora Wankowska z Janówca (*W. Ks. Poznańskie*); Paweł Krzeczkowski z Włodawy (*Królestwo Polskie*); Ks. Alfons Hulewicz z Koszut (*W. Ks. Poznańskie*), w imieniu dwóch rodzin; Helena Gieszczyńska z Baranowa, za wyzdrowienie męża i dwojga dzieci z niebezpiecznej choroby; Józef Włoczyk z Rozbarku (*Górny Śląsk*), za skuteczną pomoc w pewnej ważnej sprawie finansowej; Paweł i Emilja Tormerowie z Dunajowa (*Galicja*), za wyzdrowienie dzieci ze szkarlatyny i zapalenia nerek; Aniela Ciurzyno z Chmielnika (*Galicja*), za uzdrowienie brata; Feliks Szuchmielski z Chełmna (*Prusy Zachodnie*), za macierzyńską opiekę i za pomyślne zdanie egzaminu abiturjenckiego; Jan Bystrzyński z Piwnic (*Prusy Zachodnie*), za wygranie procesu; Katarzyna Wiśniowska z Filadelfji (*Ameryka Północna*), za wyzdrowienie zaraz po rozpoczęciu modlitw do Marji Wspomożycielki; Jan Zgaj z Pustkowia Mazurskiego (*W. Ks. Poznańskie*), za błogosławieństwo na inwentarzu; Jadwiga Wyrembelska z Nabyszyc (*W. Ks. Poznańskie*), za szczęśliwy przebieg choroby; Monika Bulińska z Brodnicy (*Prusy Zachodnie*), za wysłuchanie prośby; Witołd Jeszke sekundaner z Gniezna, za ponowne przyjęcie do gimnazjum; Adela Pilecka z Chodorkowa (*Królestwo Polskie*), za uzdrowienie pewnej osoby; Jan Szmatlok z Byczyny (*Górny Śląsk*), za wyzdrowienie i usunięcie z twarzy wielkiego gruczołu; Marjanna Dziarłowska z Poznania, za szczęśliwą operację dziecka; M. Kleczyńska z *Galicji*, za nawrócenie się pewnej osoby z drogi występku; Kl. T. ze Lwowa, za wyzdrowienie drogiej osoby; Albina Łaciakowa ze Trzciany (*Galicja*), za wyzdrowienie córeczki ze szkarlatyny i odry; Eljasz i Anastazja Krawczykowie ze Żabłotowa (*Galicja*), za wyzdrowienie córki Stefanji ze szkarlatyny, pomimo że dyrektor szpitala i pielęgnujące chorą Siostry zwątpiły o jej wyzdrowieniu; Anna Czakańska z Katowic (*Górny Śląsk*), za wyzdrowiene z róży i wyleczenie syna Jana, który sobie na kopalni niebezpiecznie nogę pokaleczył; Helena Żółtaniecka z Żółkwi (*Galicja*), za szybkie wysłuchanie prośby o zdrowie ojca, tak że zaraz po pierwszym dniu nowenny nastąpiło znaczne polepszenie; N. N. z Mikołajowa nad Dniestrem (*Galicja*), za pociechę w wielkiem strapieniu; Stefanja Orlicka z Pyskowic (*Górny Śląsk*), za doznanie ulgi w boleściach i rychłe wyzdrowienie; Augusta Dyjas z Dzieckowic (*Górny Śląsk*), za kilkakrotne uzdrowienie z ciężkiej niemocy; Aniela Janasik z Brzezinki (*Galicja*), za wyzdrowienie swoje z niebezpiecznej choroby, oraz swej matki z reumatyzmu w rękach; Jan B. z Karbu (*Górny Śląsk*) za pomyślne zakończenie procesu; Anna Mazurkiewiczowa z Buczacza (*Galicja*), za uleczenie syna z tyfusu brzusznego; M. Świeczkowski z Demlina (*Prusy Zachodnie*), za wyzdrowienie córki z dyfterji i uniknienie przez nią operacji gardła, pomimo że lekarz uznał to poprzednio za konieczne.



Umiłowanie prawdy we wychowaniu.



Zadaniem wychowania jest wyrobienie w wychowanku dobrego charakteru, żeby był przysposobiony i zdolny do walki życia. Jednym ze środków prowadzących do tego celu jest przyzwyczajanie wychowanka do zaparcia się siebie samego, do odmawiania sobie niektórych przyjemności, do panowania nad swemi niższemi skłonnościami. Dalszym środkiem zaszczepianie zamiłowania do prawdy. Oto pod tym względem kilka pięknych myśli jednego z naszych lepszych pedagogów, p. dra Antoniego Danysza:

,,Polskie przysłowie mówi, że kto kłamie, ten kradnie; kradzież tu należy uważać za uogólnienie wszelkiej większej przewrotności, zdrożności, zbrodni.

Mijanie się z prawdą, czyli kłamstwo, jest pierwszym rozdźwiękiem, jakiego wychowanie unikać powinno, gdyż ono staje się źródłem, z którego biorą swój początek wszelkie inne zboczenia charakteru. Dziecko, popełniające kłamstwo, zawiera ze sumieniem swem układ na niekorzyść moralności. Kłamstwo toruje drogę do wszelkich innych zboczeń charakteru.

Skoro dziecko przez pierwsze kłamstwo przygłuszyło w sobie głos sumienia, któż może ręczyć, że nie posunie się dalej, nie rozgrzeszy się także przy innych daleko niebezpieczniejszych zdrożnościach moralnych? Kłamstwo jest tem niebezpieczniejsze, że jest dla dziecka najponętniejszym środkiem zapewnienia sobie jakiejś korzyści. Gdy bowiem dziecko popełni czyn karygodny i może się uwolnić od złych jego skutków przez zaparcie się go, to w przeważnej liczbie wypadków nie uchroni się od ponęty kłamstwa. Stąd pochodzi to tak częste zjawisko, że dzieci kłamią; spowodowało to nawet jednego z angielskich pisarzy do przesadnego twierdzenia, że dzieci rodzą się kłamcami, są kłamcami z natury.

Kłamstwo powoduje u dziecka niezgodę między wewnętrzną a zewnętrzną stroną charakteru. Chociaż bowiem dziecko wie, co złe a co dobre, przez kłamstwo uczy się inaczej zapatrywać na złe, zwłaszcza jeżeli mu się udało za jego pomocą uwolnić się od odpowiedzialności. Złe traci w jego oczach na ohydzie, jeżeli nie pociąga za sobą złych skutków. Przez kłamstwo utrwala się dziecko w mijaniu się z obowiązkiem, staje się głuchem na głos sumienia.

Kto nie umie kłamać, ten nie może tak łatwo liczyć na bezkarność, a przez to samo w zamiłowaniu prawdy znajduje hamulec swych niemoralnych pokus. Nieraz nawet dzieci same to-

warzyszów nie umiejących kłamać z całą świadomością wykluczają od udziału w złych sprawkach, jak się to dzieje w wychowaniu zbiorowem przy oszukiwaniu nauczyciela.

Przeciwnie, kto tak dalece przyzwyczaił się do kłamstwa, że przy spełnianiu niemoralnego czynu z góry sobie zapowiada, że w razie gdy się rzecz wyda, usunie się od odpowiedzialności przez kłamstwo albo nawet z góry przygotowuje sobie formę kłamstwa, tego moralność jest na bardzo pochyłej drodze. Dlatego nie jest to bynajmniej przeszkodą, gdy wyrobienie zamiłowania prawdy uważa się za główny warunek umoralnienia wychowanka. — Stąd też w wychowaniu młodzieży angielskiej kłamstwo uchodzi za największe przewinienie.

Ściśle rzecz biorąc, kłamstwo jest przywiązane do wychowania, bo gdyby nie było wychowania, dziecko chyba tylko samo siebie mogłoby okłamywać. — Wychowanie zatem powinno do dziecka stosunek zwierzchniczy tak ukształcić, aby w niem nie powstała, ani się wyrobiła pokusa do kłamstwa. — Nie wymagając od wychowanka rzeczy zbyt trudnych albo niemożliwych, może wychowawca przez zniżenie się do poziomu jego interesu wywołać w nim zaufanie tak dalece, iżby wychowanek nie miał potrzeby okłamywania swego wychowawcy. Lecz do tego potrzeba, ·aby wychowanek odczuwał w wychowawcy rzeczywisty, niekłamany interes dla siebie, dla spraw swoich. Takie ukształtowanie stosunku niełatwą jest rzeczą, gdyż przez zniżenie narażona jest na szwank zwierzchnicza powaga wychowawcy. Wychowawca musi być poufnym przyjacielem, przed którym się niema tajemnic, a zarazem zwierzchnikiem wychowanka. Połączenie tych ról, które się same przez się wykluczają, w jednej osobie jest nadzwyczaj trudne i żąda wielkiego taktu. Najczęściej wychowawca, chcąc być przyjacielem wychowanka, traci wobec niego powagę, chcąc zaś być zwierzchnikiem, nie zyskuje jego zaufania."

ROZMAITOŚCI

Pierwszy nauczyciel.

— Mamo, pozwólcie, pójdę do szkoły...! ja tak bardzo pragnę się uczyć!

— Drogie dziecko, niemasz nauczycieli w naszej wsi.

— Będę chodził do sąsiedniej wioski.

— Ależ to mila drogi; to zadaleko!

— Mamo, nie lękam się wielkiej odległości: pójdę chętnie... nie będę się zatrzymywał po drodze, a skoro lekcye się ukończą, natychmiast wrócę.

— Mój drogi, aby pobierać nauki, trzeba być majętnym, a my jesteśmy biedni, ciężko pracować musimy; twój brat starszy narzekałby, że jego samego do pracy zostawiasz.

— Dobrze, będę więc pracował za dnia... a nocą będę się uczył.

— Gdybyś miał chodzić do sąsiedniej wioski, nie mógłbyś bratu pomagać.

Malec nie wiedział co odrzec na tę uwagę, utkwił litościwie swe oczęta w wzrok matki, chcąc jakby jeszcze nieśmiało dodać: „Mamo, zaradźcie temu... abym się tylko mógł uczyć." I tak z dnia na dzień, ilekroć po ukończeniu jakiejś pracy lub zabawy wracał do matki, zaczynał swe zwykłe błagania: Mamo, ja tak bardzo pragnąłbym się uczyć; oh! jak bylibyście dobrą, gdybyście mi pozwolili się uczyć!

Pewnego dnia matka, dlatego że znudzona natrętnem błaganiem chłopczyny, a może dlatego, że przeczuwała świetne postępy swego syna w naukach: chodź, rzekła, chodź do mnie, pójdziemy do... (tu wymieniła nazwę wioski, do której mieli się udać); dziś właśnie odbywa się wpis nowych uczni; zobaczę, czy nie zechcą i ciebie przyjąć!

Zima nadchodzi, robota w polu prawie na ukończeniu, i brat nie będzie miał na co się żalić; pytanie tylko, czy ty nie ustaniesz od chodzenia, szczególniej gdy będzie słotno lub zaspy śnieżne zakryją drogi.

— Tak, tak, mamo, wołał podskakując z radości malec — chodźcie, mamo, a zobaczycie...

Poszli... lecz ku ich wielkiemu zmartwieniu, nauczyciel nie chciał przyjąć naszego małego przyjaciela.

— Ja nie jestem zobowiązany przyjmować dzieci z innych gmin.

— Ależ pan ma ich już tylu, jeden więcej jeden mniej, to pana nie obciąża... zauważyła matka.

— Właśnie że ich mam tylu, nie chcę go przyjąć — poszlijcie go do szkoły w swojej gminie.

— Nasza gminna szkoła jest zanadto odległa dla niego.

— W naszej wiosce nie mamy szkoły, odparła zmartwiona matka.

— Nie wiem więc jak poradzić... ja z mej strony nie jestem zobowiązany go przyjąć.

A że nauczyciel był nieubłagany, matka i nasz mały przyjaciel z kwitkiem wrócili do domu.

— Teraz sam namacalnie poznałeś, że uczyniłam co tylko było w mej mocy, by cię zadowolić, mówiła matka do chłopczyka; myślę, że już więcej nie będziesz mnie napastował natrętnemi prośbami.

Biedna matka wymawiała te słowa z goryczą w sercu, bo pragnęła, aby syn kształcił się na razie choćby w najelementarniejszych wiadomościach. Ale... jak?... i co tu robić? Przemyśliwała nad różnymi sposobami, wynajdywała z dniem każdym nowe środki, niestety daremnie! a nasz mały przyjaciel co raz to częściej prosił matkę, by mu się pozwoliła uczyć!

* * *

— Nie jest do uwierzenia, rzekł jednego dnia pewien wieśniak do matki naszego przyjaciela, żeby nikt nie chciał udzielić lekcyi chłopczykowi,

który ma tak rzetelną chęć do nauki ; — przyślijcie go do mnie, wypróbuję ja jego zdolności, a gdy się okaże pojętnym, będę mu chętnie udzielał nauki ze szczupłych wiadomości, jakie posiadam.

Uradowana matka przyjęła z wdzięcznością oświadczenie gospodarza i przez całą zimę posyłała swego syna do niezwykłego nauczyciela — wieśniaka, który nie posiadał się z radości, widząc szybkie i świetne postępy swego ucznia.

* *
*

Wiele lat minęło od tego czasu, a w Turynie działy się głośne rzeczy; więc z ciekawości szli tam okoliczni mieszkańcy i cudzoziemcy. Było w istocie co oglądać i podziwiać, bo tam, gdzie przed kilkudziesięciu laty zielone roztaczały się łąki, wznosiły się gmachy, zabudowania ogromnych rozmiarów — ba! nawet wspaniała świątynia. Było to Oratoryum, kościół Wspomożycielki i Schronisko stworzone dla opuszczonych chłopców przez Ks. Bosko.

— Przewielebny Ojcze, zagaduje sędziwy starzec ks. Ruę tam w Oratoryum turyńskiem ; — któżby był pomyślał, że ks. Bosko, który nic nie posiadał, dokona tego wszystkiego!

— Naprawdę dziwne to rzeczy w oczach ludzi, którzy w tem nie Boga, ale tylko rękę człowieka upatrują! Lecz kto głębiej wgląda w sprawy, niechybnie uzna w nich odbijającą się wszechmoc i dobroć Boga, który jako Mistrz posługuje się lichem narzędziem i dokonywa cudów przez słabego człowieka.

— Nie posiadam się z podziwu! Któżby był przypuszczał! Gdy ks. Bosko był jeszcze małym chłopczykiem w Becchi, chciał się uczyć, a nikt nie raczył podjąć się udzielania mu najelementarniejszych wiadomości; wtedy ja z litości wziąłem go do siebie i uczyłem go czytać i rachować.

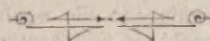
Wieśniak ja, ale się szczycę tem, żem był pierwszym nauczycielem ks. Bosko!

Proszę Ojca Wielebnego, czy można widzieć się z ks. Bosko?

Ks. Rua z uszanowaniem poprowadził sędziwego starca do stancyi ks. Bosko.

Nie miałem szczęścia słyszeć rozmowy takiego nauczyciela z takim uczniem, lecz wyobrażam sobie, że musiała być nadzwyczaj serdeczna i miła.

(Ze *szarej* księgi *Makarego Nowiny* wypisał Przyjacielski).



Macerata (Włochy) - Kółko gimnastyczne *Robur*.

ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
Misjonarza Salezjańskiego.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XL.

Z kijem pielgrzymim. — Na statku „Diamantino." — Spotkanie z Indjanami. — Moskity. — Na tratwie. — Pobyt w Corumbá. — Na statku Coxipó. — Gorycze życia. — Rzeka św. Wawrzyńca. — Miła niespodzianka. — Tragiczny wypadek. — Ławice piaskowe. — Trudna przeprawa. — Przybycie do stolicy stanu Matto-Grosso.

Kiedy Pan nasz Jezus Chrystus wysyłał swych Apostołów na nawracanie świata, powiedział im to tylko: „Obrałem was abyście szli i owoc przynieśli." Zgodnie z tem prostem a wzniosłem słowem, tradycja chrześcijańska przedstawia nam Apostołów z kijem pielgrzymim w ręku, w nieustannej wędrówce po wszystkich krajach i strefach ziemi, poszukujących dusz, które oczekują zbawienia. Nasz biskup misjonarz był także prawdziwym apostołem; jego gorąca żarliwość nie cofała się przed żadnym trudem ani niebezpieczeństwem, aby dusze prowadzić i przyciągać do Chrystusa. Dla tego był nieustannie w podróży i nazywał się sam żartobliwie komisantem Ojca świętego.

6. czerwca wsiadł wraz z nowo przybyłymi misjonarzami na statek *Diamantino* i puścił się na spokojne wody rzeki *Paraguaju* w kierunku *Cuyabá*. Serce jego przepełnione było radością, bo znowu znajdował się razem ze swymi współbraćmi. Wszyscy wspólnie wielbili i błogosławili Boga za widoczną opiekę, jaką ich dotąd był otaczał. Cieszyli się, że mogą codzień odprawiać Mszę św., prywatnie w ciągu tygodnia, lecz bardzo uroczyście, — w wielkim salonie i w obecności wszystkich pasażerów, w niedzielę i święta. Znosili też z rezygnacją upał, który stawał się dokuczliwym, znajdowano się już bowiem pod 24 stopniem szerokości i wkrótce miano wjechać w strefę gorącą.

Przybywszy nad ranem do *Villa Conception*, nasi podróżni spostrzegli Indjan, którzy w swych lekkich łódkach gonili za okrętem, aby prosić o suchary i tym podobne podarki, na które są bardzo łakomi. Biedacy ci nie mieli na sobie żadnego łachmana, a niektórzy mieli ciało pomalowane lśniącą czerwoną lub czarną farbą. We włosach nosili powtykane pióra ptaków, a na ramionach i na nogach opaski z takichże piór lub z białych kosteczek.

Podróż stawała się coraz bardziej uciążliwą z powodu wzmagającego się upału, ale bardziej jeszcze naprzykrzały się podróżnym moskity, t. j. tamtejsze komary, których długie żądła kłuły do krwi nawet przez ubranie; ani w kabinach nie można się było od nich uwolnić.

„Przybyliśmy — pisze ks. Lasagna — wieczorem 10. czerwca do miasta *Corumbá*. Mimo że miasto to co do znaczenia i ludności jest drugiem w stanie Matto-Grosso, nie odznacza się jednak niczem i zaledwo da się porównać z naszą wioską. Po odliczeniu załogi wojskowej, mieszkańców jest zaledwie 3000. Znajduje się tu komora celna i tutaj zatrzymują się wszystkie parowce, bo rzeka w górnej części jest tak płytka, że mogą nią jechać tylko małe i bardzo lekkie statki z niewielkim ładunkiem. Ale i te nawet bardzo często zmuszone bywają zatrzymać się; a wtedy podróżni i towary przeprowadzane są dalej na statkach o płaskiem dnie, podobnych do tratew, które silni wioślarze popychają za pomocą długich żerdzi. Łatwo sobie wyobrazić, jak powolną jest taka podróż; z konieczności jednak musieliśmy przyjąć ten sposób podróżowania."

„W Corumba powitał nas ks. Konstanty Tarzio, proboszcz miejscowy, oraz konsul rzetejczypospoli boliwijskiej. Następnego dnia, po zwiedzeniu kościoła, byliśmy u pułkownika Horazio, komendanta załogi miejscowej, i konsula włoskiego. Obaj przyjęli mnie uprzejmie i odprowadzili z muzyką wojskową na statek. Biedny proboszcz nie ma nikogo do pomocy i jest obarczony kłopotami, mając często do czynienia z obcymi przybyszami, którzy mniej więcej są wszyscy awanturnikami i spekulantami. Parafja jego rozciąga się na sto mil kwadratowych."

„Gdyby się tu znajdowała choć jedna szkoła dla chłopców i dziewcząt prowadzona przez zakonników i siostry, zmieniłby się może wygląd tego miasteczka, które teraz żyje wyłącznie handlem i interesami materjalnymi. Dałby Bóg, żebyśmy mogli kiedyś przyłożyć rękę do tego dzieła odrodzenia!" To życzenie naszego biskupa ziściło się w r. 1899 dzięki gorliwości ks. Malana i szlachetnych pomocników z *Corumbá*.

Ks. Lasagna tak ciągnie dalej swoje opowiadanie: „Wieczorem 11. czerwca byliśmy już wszyscy natłoczeni na małym statku *Coxipo;* pozwolono nam mieć przy sobie tylko małe walizki, resztę pakunków trzeba było zostawić w *Corumbá*. W istocie wody rzeki widocznie opadały i była obawa, żebyśmy nie osiedli na mieliźnie, statek więc nie powinien był być nad miarę obciążony. Było nas ośmdziesięciu podróżnych, nie licząc około czterdziestu żołnierzy

z żonami i z dziećmi. Statek mieścił zaledwo kilka kabin dla podróżnych ; ale na szczęście sternik odstąpił mi swego miejsca, którem podzieliłem się z moim sekretarzem. Na przodzie i na tyle okrętu oraz po obu bokach znajdowały się wązkie korytarze nie kryte, do ścian których były przytwierdzone ławki ; w dzień służyły one do przechadzki i jako refektarz, w nocy zaś zamieniały się na wspólną sypialnię. Każdy układał się tu jak mógł i starał się spać, owinięty w kołdrę i przyciśnięty do drugiego. Szczęśliwy, kto miał sen dobry i zdrowie wytrzymałe, bo rano wstawszy, uczuwał tylko pewną sztywność w członkach. Co do mnie, po tygodniach spędzonych w okolicach bagnistych i niezdrowych, odczuwałem mocno ostre reumatyzmy , których się tam nabawiłem ; noce więc moje były prawie bezsenne, co w ciągu dnia aż nadto było widoczne. W całym ciągu tej podróży cierpiałem straszliwie i dziś jeszcze odczuwam przykre jej skutki. Moi kochani towarzysze, dzięki Bogu, nie ucierpieli w tej podróży , a ich wytrwałość i dobry humor ani na chwilę nie zawiodły.

,,Co dwadzieścia cztery godziny statek nasz zatrzymywał się, aby zabierać zapas drzewa, zastępującego węgiel ; zatrzymywał się także, gdy w rzadkich odstępach ukazywała się jakaś nędzna chatka, zamieszkana przez śmiałego i przedsiębiorczego osadnika zajętego hodowlą bydła lub uprawą kukurudzy i ryżu. Po dwóch dniach opuściliśmy rzekę *Paraguaj*, aby wpłynąć na rzekę św. Wawrzyńca, nad brzegami której znajdują się siedziby Indjan plemienia *Coroados*, wśród których mieliśmy pracować.

Przez 28 godzin płynęliśmy tą spokojną rzeką, poczem wpłynęliśmy na małą o krętym biegu rzeczkę *Cuyabà*.''

Ciasnota na statku nie pozwalała naszym braciom, zwłaszcza w ostatnich dniach , na odprawianie Mszy św., co było dla nich wielką przykrością i zmartwieniem. Ks. Lasagna starał się wynagrodzić im ten brak przez budujące nauki, Komunję duchowną i krótkie westchnienia do Boga , zwracając ku Niemu ich umysły i serca. Jednakże w dniu 16. czerwca, w którym przypadało święto M. B. Wspomożenia , najdroższy dzień dla misjonarzy salezjańskich , ta dobra Matka zgotowała im miłą niespodziankę. Gdy biskup ze smutkiem rozmyślał o pięknych uroczystościach odprawianych w tej chwili w tylu naszych kościołach i o niemożności uczczenia jak należało swej Patronki, zbliżył się ku niemu jeden z podróżnych i ucałowawszy pierścień biskupi, wręczył mu list. Z radosnem zdziwieniem biskup znalazł w nim sumę około 270 franków w monecie brazylijskiej, złożoną przez podróżnych na potrzeby misji w Matto Grosso. Ta szlachetna ofiara była objawem sympatji, jaką biskup umiał sobie zjednać w ciągu podróży.

Podczas gdy płynęli dalej w górę rzeki *Cuyabà*, zbliżyli się do miejsca, które się upamiętniło smutnym wypadkiem. Była to chatka zbudowana na wzgórzu dla bezpieczeństwa od wylewów. Temu lat kilka mieszkał tu niejaki Figueredo z rodziną i służbą, zajmując się rolnictwem i chowem bydła. Posiadając dobrą broń, nie zaniedbywali strzelać na strach do Indjan, ilekroć się zanadto zbliżali. Ale ci doprowadzeni do wściekłości napaściami obcych najezdców i morderstwami dokonanemi na swych braciach, poprzysięgli dziką zemstę.

Czekali na chwilę, gdy Figueredo ze służbą oddalił się do lasu na robotę i skradając się, napadli znienacka na panią domu otoczoną dziećmi i wszystkich okrutnie wymordowali, poczem poosadzali głowy pomordowanych na długich tykach, które powbijali rzędem na dziedzińcu.

O zmroku Figueredo powracał wesoło do domu, ale nie słysząc jak zazwyczaj szczebiotu swych dzieci, zaniepokojony przyśpieszył kroku. Zaledwie wszedł na dziedziniec, krzyknął przeraźliwie i padł bez zmysłów. Służący jego przenieśli go do łodzi i odpłynęli co prędzej, aby go oddalić z miejsc, których potem już nigdy nie chciał oglądać. Odtąd biedny człowiek żyje w stanie łagodnego obłędu; błądzi po polach i drogach, wymachując rękami i płacząc nad swojem nieszczęściem.

Wieczorem 15. czerwca statek zatrzymał się był przed domem wiejskim, w pobliżu którego czekał konny posłaniec. Przybył on ze stolicy z rozkazu Prezydenta tej prowincji aby się dowiedzieć, czy misjonarze znajdują się na statku *Coxipo*, Zaledwo otrzymał odpowiedź, posłaniec puścił się z powrotem drogą leśną. Było to oznaką, że się zbliżamy do kresu podróży. Niestety! trochę dalej łożysko rzeki rozszerzało się nad miarę, a z wody wynurzały się ławice piaskowe które tamowały przejazd. Kapitan kazał tedy przenieść pakunki i wszystkie przedmioty cięższe na prom, który statek nasz holował od ostatniego przystanku. Ulżywszy ciężaru, przepłynął szczęśliwie między piaskami. Podróżni nasi cieszyli się nadzieją, że nazajutrz wieczorem staną w *Cuyabà*, ale spotkał ich srogi zawód. 16. czerwca rano , w chwili gdy misjonarze gotowali się do odprawienia Mszy św, była to bowiem niedziela, statek zachwiał się i z okropnym trzaskiem osiadł na ławie piaskowej. Kapitan wszelkimi możliwymi środkami próbował spuścić go na wodę ; wszyscy podróżni przenieśli się na prom i mały parowiec ruszył. Trwało to jednak tylko kilka godzin, bo wkrótce statek osiadł na piasku po raz drugi. Kapitan kazał zarzucić kotwicę w miejscu osłonionem przez drzewa od żaru słońca i zaprosił podróżnych po raz ostatni na obiad. Poczem porzuciwszy ostatecznie okręt, stłoczyli się jak śledzie na promie. Ta ostatnia część podróży była niewątpliwie najprzykrzejszą ; nareszcie z trudem puszczono się dalej w stronę *Cuyabà*, gdzie podróżni stanęli 18. czerwca w południe Biskup i jego towarzysze powitani zostali odgłosem dzwonów, muzyką i strzałami. W towarzystwie biskupa miejscowego ks. Amour, Prezydenta Stanu, generałów, urzędników i przy okrzykach radości zebranego na jego powitanie

ludu, biskup udał się do małego kościółka św. Alojzego, gdzie odśpiewano uroczyste *Te Deum*. Po błogosławieństwie Przenajśw. Sakramentem przemówił w kilku słowach do ludu, dziękując za przyjęcie mu zgotowane i wyłuszczając powód przybycia misjonarzy. Zakończył życzeniem, aby Salezjanie zdziałali tu jak najwięcej dobrego i tak spełnili swoją misję w Matto-Grosso.

(D. c. n.)

Ks. Adam Borowiecki

PROBOSZCZ W BOBRKU I BYŁY DZIEKAN NOWOGÓRSKI

zasnął w Panu 9. kwietnia b. r. w 60tym roku życia, po 34 latach cichej ale wytężonej pracy kapłańskiej. Lubiany przez wszystkich i dla



cnót swoich wysoko ceniony, dbały o dom Boży i dobro ludu, był wzorem dobrego pasterza. Ze zakładem ks. Bosko w blizkim Oświęcimiu utrzymywał stosunki bardzo serdeczne. Pomimo słabego zdrowia przyjeżdżał na odpusty salezjańskie, bywał na zabawach młodzieży, wspierał zakład ofiarą i jeszcze krótko przed śmiercią fundował w oświęcimskiej świątyni Wspomożycielki Wiernych jeden filar, na którym po wieczne czasy wyryte będzie jego imię.

Upraszamy Łaskawych Czytelników, aby w modlitwach swoich raczyli pamiętać o duszy tego dobroczynnego kapłana.

NEKROLOG.

ZMARLI POMOCNICY.



Badoniońka Tekla, — Pawężów, *Galicja.*
Bąk Florjan, — Ruda, *Górny Śląsk.*
Bąk Jakób, — Pewel ślemieńska, *Galicja.*
Bartkowiak Wojciech, — Ciświca, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Białas Konstanty, — Twardawa, *Górny Śląsk.*
Blach Rozalja, — Opole, *Górny Śląsk.*
Błaszkowski Mateusz, — Mroczenko, *Prusy Zachodnie.*
Bromboszcz Szymon, — Wyrów, *Górny Śląsk.*
Buchwald Wincenty, — Śrem, *W. Ks. Poznańskie.*
Chmura Stanisław, — Brzeziny, *Galicja.*
Ciesielski Michał, — Żoń, *W. Ks. Poznańskie.*
Cieślik Franciszek, — Siemianowice, *Górny Śląsk.*
Czajkowski X. Józef, — Antwerpia, *Belgja.*
Czekała Roman, — Wronieckie huby, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*
Czerwińska Magdalena, — Chełmno, *Prusy Zachodnie.*
Dombek Paulina, — Jeżowa, *Górny Śląsk.*
Dresler Marjanna, — Dobiszów, *Górny Śląsk.*
Dudek Marjanna, — Długawieś, (*W. Ks. Poznańskie.*
Dworzańska Emilja, — Kęty, *Galicja.*
Fiałek X. Wojciech, proboszcz, — Witamowice, *Galicja.*
Filla Franciszek, — Huta Wilhelminy, *Górny Śląsk.*
Gąsior Tomasz, — Brzeziny, *Galicja.*
Gęstwa Pelagja, — Skurcz, *Prusy Zachodnie.*
Góralczykowa Filipina, — Wieszowa, *Górny Śląsk.*
Grabska Apolonja — *Poznań.*
Grochal Franciszek, — Miechowice, *Górny Śląsk.*
Grocholski X. Feliks, proboszcz, — Hussaków, *Galicja.*
Gubański Ignacy, — *Poznań.*
Hemmerling X. Władysław, proboszcz, — Wierzbno, *W. Ks. Poznańskie.*
Jakubowski Piotr, — Jarogniewice, *W. Ks. Poznańskie.*
Jankowski Wawrzyniec, — Radzewo, *W. Ks. Poznańskie.*
Kaźmierczak Jan, — Wałków, *W. Ks. Poznańskie.*

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków! Amen.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO.
Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1907.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. MONAUNI. (Trento-Austria).